# STRÓJ DAWNYCH NIEWIAST POLSKICH.
## WIEK XVI.

Anna z Sapiehów Radziwiłłowa.

Suknia z wzorzystéj materji z rękawami otwartemi w pośrodku, z pod których wychodzą inne, z białego atłasu posianego złotym haftem. W pośrodku stanika, haftowany złotem herb obu połączonych domów Sapiehów i Radziwiłłów w otoczeniu z klejnotów. Z obu stron spada od ramion łańcuch z drogich również kamieni. Na szyi sznur pereł i sztywna muślinowa kreza z brzegiem z weneckiéj koronki (*guipure de Venise*). Zausznice z pereł i djamentów, na głowie czapka aksamitna również perłami i djamentami naszywana.



# PRZYGODY
# KS. MARCINA LUBOMIRSKIEGO.

Według autentycznych źródeł

opowiedział

**Władysław Chomętowski.**

W przeciwległéj stronie salonu dwie siedziały panie; jedna już w podeszłych latach matrona, druga młoda i świeża jak pączek róży, wysmukła powiewna jak brzoza, z żywemi

błękitnemi oczami, z uśmiechem swobody i zadowolenia. Pierwsza była Krasińska, z domu Lubomirska, wojewodzina Lubelska, przy niéj znana wszystkim z swych przygód jéj siostrzenica, późniéj królewiczowa, panna Franciszka Krasińska, obok której stał upudrowany mężczyzna; był to Stanisław Lubomirski Strażnik Koronny znany z nauki i niepospolitego dowcipu, wielki przytém zwolennik i ulubieniec płci pięknéj, o którym jeden z pamflecistów ówczesnych powiedział:

Placet multis, sexui maxime,
Upodobany wielu, damom wszystkim prawie.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Przedmiotem rozmowy księcia Strażnika koronnego, były tegoroczne bale warszawskie, na których Franciszka Krasińska wystąpiła po raz pierwszy, pod opieką swéj ciotki Lubomirskiéj.

Kiedy książe Strażnik rozprawiał o królewiczu Karolu i nadziejach jego ojca, żywy rumieniec wystąpił na lica Franciszki Krasińskiéj, wzruszenie dziewicy nie uszło jego bacznéj uwagi, więc dodał przechylając się się na poręczy krzesła, nieco zniżonym głosem:

— Boginie nasze ubiegające się o względy królewicza w Warszawie, przypomniały mi komedję graną w roku zeszłym w Nieświeżu, na uroczystościach ślubu JM. Pana Wacława Rzewuskiego Hetmana Polnego koronnego z księżniczką Karoliną Radziwiłłówną Wojewodzianką Wileńską; była to znana historja Parysa pod tytułem: *Miłość interessowany sędzia.* Królewicz Parys wychowany w pasterskim stanie, spotyka w lesie przecudnéj urody Nimfę Oenonę, która zna tajemnice ziół różnych, mianowicie tego ziela co zapala w nieczułém sercu płomień miłości, to też Parys wkrótce doznaje jéj wpływu i woła oczarowany:

Ach! Nimfo, skutek twego ziela wielowładny,
Któżby nie chciał nauki w szkole damy ładnéj,
Dawaj mi swoje prawa, lecz na moją ranę
Lekarstwa nie masz, chyba gdy ciebie dostanę.

Na to odpowiedziała mu Oenona:

Piérwszy raz mię w tym lesie oko twoje zoczy,
A jużeś do kochania skory i ochoczy.
Prawda, że miłość serca tak łączy misternie,
Że kto nagle zakocha, częściéj kocha wiernie,
Bo długa sztuk przynęta i długie staranie
Albo sprzykrzą, albo też rwać zwykły kochanie.

Parys przysięga wiarę małżeńską Nimfie, która nie domyślała się wcale, jak gorzkiego może doznać zawodu. Trzy boginie Juno, Pallas i Wenus, w sporze o jabłko wzywają sądu Parysa; rozkochany sędzia przyznaje pierwszeństwo pięknéj Wenerze, która mu wywdzięczając się za to, wyjawia tajemnicę urodzenia i przepowiada jako ma zaślubić piękną Helenę żonę Menelaja. Parys uznany za Trojańskiego królewicza, oczarowany wdziękami Heleny, zapomina o dawnéj kochance, wpływ to wielowładny bogini piękności, w połączeniu z blaskiem korony, wyrugował z jego serca pierwszéj miłości płomienie. Biédna, biedna Oenona! zawołał z uśmiechem książe Strażnik, patrząc na zakłopotaną twarz dziewicy, która zarumieniła się powtórnie i spuściła oczy.

Księżna Wojewodzina zauważała pomieszanie swéj siostrzenicy i rzekła zwracając mowę do Strażnika.

— Znam dobrze tę komedję, ale niewiem wprawdzie co może mieć wspólnego nasz królewicz, wychowany u stóp tronu, z owym Parysem, który będąc skromnym pasterzem, dopiero z ust bogini dowiedział się o swym losie i przyszłości, jaka go czeka.

— Nie porównywam wcale losu naszego królewicza z losem Parysa, ale mam raczéj na myśli warszawskie boginie, które od niego oczekują wyroku, lub też może nieszczęśliwą Nimfę, która w prostocie serca zaufa jego przysiędze; odrzekł książe Strażnik z szyderczym uśmiechem, poczem spojrzał obojętnie na około sali; ale nie zauważył pełnego wyrzutu spojrzenia panny Franciszki Krasińskiéj, które jednak nie uszło bacznéj uwagi jéj ciotki, nie domyślającéj się dotąd istnienia tajemniczego węzła, który połączył zakochanych w jéj własnym domu w Opolu, w czasie pobytu tamże królewicza Karola. W skutku spostrzeżenia uczynionego w dniu dzisiejszym, postanowiła księżna Wojewodzina większe dawać baczenie, za powrotem do Warszawy, na stosunki królewicza z jéj wychowanicą, nie przewidywała też wcale równie jak Strażnik koronny, że w przeciągu jednego roku skromna Nimfa z Opola, pomimo wszelkich przeszkód, poślubi księcia Kurlandji i królewicza Polskiego, który to związek miał być zadatkiem sławy jéj imienia, ale też zarazem przyczyną długiego pasma troski i zgryzot. Rozmowy w salonie urwały się nagle z wejściem gospodarza domu, w towarzystwie brata i hetmana Branickiego, jednocześnie bowiem wezwani byli goście do stołów, na których zastawione potrawy oczekiwały w przyległych komnatach. Uczta do późnéj przeciągnęła się nocy, ciche szepty, urywane rozmowy, świadczyły wymownie, że licznie zebrani goście szanowali uroczystość obecnéj chwili i stosowali się do humoru gospodarza, który w głębokim pogrążony był smutku, tak z przyczyny straty ukochanéj małżonki, jakoteż z niespokojności nad losem krnąbrnego i gwałtownego jedynaka syna.

## III.

W ostatnich dniach miesiąca Marca, około godziny ósméj wieczorem, mimo pałacu z żelaznemi kratami Hetmana Jana Klemensa Branickiego, przechodził ulicą Miodową słusznego wzrostu mężczyzna, otulony w długim płaszczu ; doszedłszy do drewnianego dworku,

który wyglądał skromnie w sąsiedztwie murowanych pałaców, zapukał do bramy po raz piérwszy i drugi, ale naprónżo; dopiéro za trzecim razem otworzono mu drzwi nieśmiało; odźwierny zmierzył go od stóp do głowy:

— Wasza Książęca Mość! zawołał jakby zdziwiony nagłem przybyciem niespodziewanego gościa.

— Krótką masz pamięć, jak widzę, zapomniałeś że wyjechałem z Warszawy na trzy dni tylko i że na czwarty, to jest dzisiaj, miałem wrócić wieczorem.

— Prawda, istotna prawda, J. O. Książe, biednaż ta moja głowa, ledwo się zapamięta to o czém mówiło się z rana, a to było jeszcze przed trzema dniami!

— Szkoda, że masz tak krótką pamięć, ale powiedz czy zdrowe są panie i czy kto obcy nie pytał się o mnie?

— Panie... ot zwyczajnie jak kobiéty, jedna szlocha często i trapi się wielce nieboga, a druga, starsza pani, pociesza ją jak może. Ale o W. Ks. Mość nikt nie pytał się obcy, jeno ten sam pan Chorąży, co tu niedawno był z listem.

— Chorąży Siemoński!

— Tak on sam, chorąży chorągwi pancernéj w Janowcu.

Książe zadrżał cały, jakby wiadomość ta srogie wróżyła mu nieszczęście, ale wkrótce podniósł głowę, potarł ręką czoło i wszedł do drzwi drewnianego budynku, który stanowił lewe skrzydło rzeczonego dworku.

Okna komnaty, do któréj gość zmierzał, zapłonęły światłem na odgłos jego kroków, poważna matrona, mogąca mieć około lat sześćdziesięciu wieku, powitała go w progu.

— Gdzie jest Anna, czy nie chora? było piérwsze zapytanie gościa.

— Anna zdrowa, dzięki Bogu, choć ciągle tęskni i płacze, biedne dziewcze, po stracie rodzicielskiego domu; a może i po kimś więcéj, z uśmiechem dodała staruszka.

— Po kim? zapytał z niespokojnością książe.

— Jak widzę, W. Ks. Mość bardzo prędko chciałby dowiedzieć się o wszystkiem, ale jako ciotka i jedyna teraz opiekunka téj sieroty, ośmielam się zapytać go poraz ostatni, czy przywiózł dokument zawartego z Anną ślubu, pod tym bowiem warunkiem przyjęłam ją do mego domu, a jako zaufałam W. Ks. Mości, tak mamo prawo żądać potwierdzenia tegoż.

— Oto jest dowód, jako przyznałem Annę Wyleżyńską za prawą i jedyną moją małżonkę.

Stara jejmość przysunęła do światła dokument położony przed nią na stole, przekonała się, że jest opatrzony podpisem księdza; poczem wznosząc do góry ręce zawołała z radością: dzięki ci Boże, sława więc Anny na zawsze już jest ocaloną!

— Dokument ten, spodziewam się, że będzie dostatecznym dowodem przeciwko złośliwym językom, które tak szarpią moją i jéj dobrą sławę; przewidziałem że interesa moje, stosunki z rodziną, może mnie zmuszą do opuszczenia Anny na dłuższy lub krótszy przeciąg czasu, dwie więc wyciągnąłem kopje tego ślubnego aktu, jedną pośle Anna swemu ojcu, który może nie będzie gniewać się na mnie, skoro się przekona, że nie jestem uwodzicielem, lecz mężem jego córki, z którą pojedna się zapewne i otworzy jéj drzwi rodzicielskiego domu. Drugą kopję tegoż dokumentu pokażę ojcu memu i rodzinie; a jakiekolwiek czeka mię przyjęcie, nie wyprę jéj się przed światem.

W téj chwili rozwarły się drzwi przyległéj komnaty i jednocześnie okrzyk: książe Marcin! skierował w inną stronę oczy młodego mężczyzny.

Kobieta stojąca w progu była przecudnéj piękności, w śnieżnéj ubrana sukni, założone miała ręce na piersiach, na wpół pochylona naprzód, patrzyła wielkiemi błękitnemi oczami z owym tajemniczym ale wymownym wyrazem rzewnéj zadumy, opromienionéj jakby odblaskiem nagłéj radości.

Książe Marcin poskoczył ku młodéj kobiecie z okrzykiem niewymownego szczęścia i uchwycił oburącz dłonie, które wyciągnęła ku niemu.

— Trzy dni tylko nie widziałem cię Anno, ale te trzy dni były dla mnie wiekiem!

Anna uśmiechnęła się smutnie i postąpiła na środek pokoju, trzymając za rękę księcia, który nie odwracał na chwilę oczów od jéj oblicza, jakby chciał wynagrodzić tém sobie kilka dni rozstania.

Ciotka Anny zbliżywszy się ku młodéj parze, ujęła jéj ręce, spojrzała z rozrzewnieniem i rzekła podnosząc dłonie:

— Niechaj wam Bóg błogosławi, moi mili, napiszę natychmiast list, Anno, do twego ojca, doniosę mu o ważnym wypadku, który troski jego niespodzianie w radość zamieni. To powiedziawszy, wyszła poważnym krokiem.

Anna była wzruszona mocno, gdy ciotka wspomniała imię ojca. Książe Marcin zauważył jéj wzruszenie, wskazał jéj miejsce na kanapie, a siadłszy obok niéj, rzekł drżącym głosem, wskazując na papier leżący na stole:

— Oto jest akt ślubu, który świadczyć ma przed światem o czystości moich zamiarów. Wiesz, jak liczne przeszkody nie dozwoliły dotąd doprowadzić do skutku najgorętszego życzenia mego serca, ale starałem się jak najprędzéj ułagodzić gniew twego ojca i niedopuścić wykonania srogiéj groźby, która miała spaść na głowę twoją Anno! Wkrótce też zamysły moje, spodziewam się, że doprowadzę do skutku, uwiozę cię za granicę kraju, a tam połączę się z tobą na wieki, może też czas dłuższy pokona gniew mego ojca, zapomni urazy, powróci mi łaskę i miłość swoją.“

Anna oparła głowę na ramienin księcia, wielkie błękitne oczy łzami zabiegłe, podniosła

w górę niby z wyrazem wyrzutu, który po chwili zamienił się w wyraz uwielbienia. Książe Marcin objął jéj giętką kibić i z iskrzącemi oczami tak mówił daléj:

— W każdym razie, jakąkolwiek przyszłość los mi gotuje, szczęście moje jest w twoich rękach Anno, żadna moc na ziemi nie zmusi mię do wyrzeczenia się twéj miłości, za wiarę twą zapłacę wiarą i poświęceniem, chociażby mi przyszło wyrzec się dziedzictwa i zaszczytów, które przez urodzenie spłynąć na mnie mogą.

— Co mówisz książe! mam że stać się przyczyną nienawiści ojca i utraty praw twoich dziedzicznych, masz być skazany na niepowetowane szkody, a może nawet na nędzę za miłość biednéj Anny, która prócz serca, nic ci więcéj nie może przynieść w ofierze.

— Owszem, przynosisz mi wiele, bardzo wiele, bo darzysz mię miłością, droższą nad wszystkie skarby; w twoich oczach, w twojem objęciu, najmilsza, najczarowniejsza Anno, znajdę tysiąc pociech, które mi wynagrodzą choćby największe straty; oko twoje jest mi słońcem najjaśniejszem z gwiazd na niebie, głos twój najsłodszą muzyką, jakiéj klnę się, że nie słyszałem jeszcze, a w ustach twoich najmilsze znajduję skarby, bez których życie moje byłoby życiem nędzarza.

— Wierzę twym słowom książe, z czułością odrzekła Anna przychylając jasno włosą główkę do jego piersi, ależ mój Boże, ciężko mi na sercu skoro pomyślę, że ojciec twój, książe Miecznik koronny, wyklnie cię za ślub nasz skojarzony bez jego wiedzy i woli i że drzwi rodzicielskiego domu przed tobą będą zamknięte. Moja, moja w tem wszystkiem wina! zawołała Anna boleśnie, podnosząc głowę i odskakując nagle, jakby zbudzona ze snu trwożnego.

— Nie, nie! odrzekł silnym głosem książe Marcin, obejmując Annę i przyciskając do piersi: ja sam tylko zawiniłem w téj sprawie, jeżeli miłość tak gwałtowna jak moja winną być może, ale wybacz mi najdroższa, a nic nie mów o mojéj stracie, bo z tobą razem mam świat cały i wszystkie jego skarby, a bez ciebie jestem jako więzień w największéj ciemnicy, którego ani blask słońca, ani głos ludzki nie rozweseli.

Mówiąc te czułe wyrazy, patrzał książe Marcin z wyrazem zachwytu w twarz rozpromienioną Anny, a oczy ich spotkały się w długiem tkliwem wejrzeniu, rozpuszczone jéj włosy spadły mu na czoło, ich usta złączyły się w pocałunku... Silne stukanie do bramy, nagle spłoszyło kochanków, skoczyli z kanapy trzymając się za ręce i nadstawiając ucha, książe Marcin zawołał pierwszy: pewnie Chorąży Siemoński z listem od mego ojca!

— Idą, już idą! odrzekła Anna strwożona, tuląc głowę do piersi Marcina.

W téj chwili na twarzy księcia silne malowało się wzruszenie, spoglądał na około niespokojnym wzrokiem, poczem czarne jego oczy zatrzymały się na drzwiach, a patrzył w jeden przedmiot tak ponuro i strasznie, jak gdyby ujrzał nagle przed sobą przepaść, którą przebyć mu wypadało koniecznie.

Marcin liczył około lat dwudziestu, miał wzrost piękny, rysy twarzy wyraziste, oczy zazwyczaj pełne młodzieńczego ognia, ale w téj chwili wzrok jego zastygł nagle, a twarz niezmierną wyrażała boleść. Anna spojrzała na niego, a zauważywszy tak straszną zmianę, zawołała załamując ręce:

— Boże mój, nieszczęście!!

Zaledwie młoda kobieta wymówiła ostatni wyraz, drzwi się rozwarły i wszedł Chorąży Siemoński, powitał księcia Marcina i list mu doręczył.

Książe zbliżył się z listem do światła; Anna z założonemi na krzyż rękami z głową schyloną stała przy oknie, Chorąży stał naprzeciw księcia oparty o krzesło.

List ojca do syna zaczynał się temi słowy:

„W dniu pogrzebu twéj matki piszę do ciebie, nie wiesz dotąd może, że niecne twoje postępki stały się powodem śmierci rodzicielki...

— Matka moja nie żyje! zawołał książe Marcin z rozpaczą, patrząc się na Chorążego, jakby w niepewności, czy nieszczęście o którem ojciec mu donosi, jest niezawodną prawdą.

— Tak jest, J. O. Księżna Jejmość dobrodziejka, przed kilku dniami oddała ducha Bogu, w podróży, w miasteczku Kocku, ciało śp. nieboszczki sprowadziliśmy do Kazimierza, gdzie przed parą dniami zostało pochowane.

Młodzieniec nie wątpił już o prawdzie téj wiadomości; pomimo swéj płochości kochał on matkę niewymownie, zawołał więc rozpaczliwym głosem: nieszczęśliwy! mógłżem się tego spodziewać, że będę powodem śmierci méj matki...

Anna usłyszawszy te słowa wyrzutu i rozpaczy, powtórzyła z jękiem: nieszczęśliwy! poczem z głośnem łkaniem wybiegła do przyległego pokoju.

Marcin, pod wpływem ogromnéj boleści, zdał się nie zważać na płacz Anny, oparty rękami o stół, patrzał na list ojca, ale nie czytał daléj, bo piérwsze wyrazy powtarzał ciągle w duszy, nie mogąc od nich odwrócić na chwilę uwagi. Rozpaczliwe zadumanie księcia przerwał głos porucznika:

— W. Ks. Mość raczy przeczytać daléj i wypełnić wolę J. O. Ks. Miecznika.

Młodzieniec zaczął czytać daléj, pierwsze słowa przeszyły go tak srodze, że wszystkie inne choć najnieprzyjemniejsze wiadomości, nie oddziaływały już na niego wcale, z zupełną więc rezygnacją przebiegł następujące wyrazy:

„Ona już nie żyje, ale masz ojca, który żąda od ciebie ażebyś upokorzył się przed nim, odpokutował za grzechy i uszanował jego wolę. Rozkazuję ci, ażebyś niezwłocznie po

odebraniu tego listu, wyjechał z Warszawy, w towarzystwie Chorążego Siemońskiego, który w razie twéj zatwardziałości i uporu, ma polecone użyć pomocy siły zbrojnéj, która z rozkazu JW. Branickiego, Hetmana Wgo Kgo, jest mu dodaną. Kamieniec wyznaczony jest na miejsze tymczasowego więzienia, w którem masz oczekiwać sądu i wyroku ojca.“

Odczytał książe Marcin cały ten list spokojnie, ale wyrazy ostatnie, mianowicie Kamieniec i więzienie powtórzył parę razy, jak gdyby pozostawał pod wpływem sennych wrażeń, o których rzeczywistości powątpiewał wielce.

Chorąży zbliżył się znów do młodzieńca i rzekł łagodnym, ale stanowczym głosem:

— W. Ks. Mość raczy przygotować się do podróży.

— Wszak nie mylę się i przeczytałem dobrze, że ojciec mój Książe Miecznik Koronny wyznacza mi więzienie w Kamieńcu. Grozi mi nawet, że użyje przemocy, jeśli dobrowolnie nie wykonam tego rozkazu. Powiedz mi Waszmość Panie Chorąży, o jaki to kryminał posądza mię pan ojciec, za który tak ciężką wyznacza mi karę?

— Słucham tylko rozkazu mego Szefa, Księcia Miecznika Koronnego i ordynansu Hetmana Wielkiego Koronnego, który święcie spełnić muszę, o niczem zaś innem nie wiem, bo oprócz odstawienia W. Ks. Mości do Kamieńca, nic więcéj nie mam napisanego w instrukcji.

— Dobrze, jeżeli jest taka wola ojca, nie myślę sprzeciwiać się jéj wcale, nie wiem nawet z jakiego powodu zasłużyłem na pogróżki, że w razie uporu, użyjecie ze mną przemocy; znam wprawdzie surowość ojca, doświadczyłem jéj nieraz w mem życiu, spodziewam się jednak że sąd i wyrok jego będzie pobłażliwy.

Powiedziawszy rzeczone wyrazy spuścił książe Marcin głowę i pogrążył się w zadumaniu, po chwili spojrzał niespokojnym wzrokiem na około i zawołał z goryczą:

— Ależ Anna! Boże mój, co stanie się z nieszczęśliwą Anną?

W téj chwili nadbiegła z przyległéj komnaty zapłakana Anna, usłyszawszy ostatnie wyrazy domyśliła się już treści rozmowy.

— Opuszczasz mię już Marcinie... tak prędko, nie ukrywaj przedemną prawdy, powiedz na jak długo odjeżdżasz, lub czy mamy rozłączyć się już na zawsze?...

— Tak jest, muszę dziś pożegnać cię Anno, taka jest bowiem wola mojego ojca.

— Wola twojego ojca!

— Tak, ale przebłagam gniew jego, połączę się z tobą wkrótce, by nie rozłączać się już na wieki!...

— O! nie, nie Marcinie! ludzie pozazdrościli nam szczęścia i rozerwą wezeł, który się nie skojarzy już nigdy! zawołała w uniesieniu Anna, pochwyciwszy z konwulsyjnem drżeniem jego dłonie i oblewając je łzami.

— Muszę jechać koniecznie, nie mam nawet wolności wyboru, ale przysięgam ci Anno na cienie matki, że dotrzymam słowa, a zachowaj ten dokument jako rękojmię méj przysięgi, rzekł książe, wskazując na akt ślubny rozłożony na stole. Poczem dodał wkrótce ściskając jéj dłonie:

— Żegnam cię droga Anno, nie zapominaj o mnie i pożegnaj twą ciotkę. Jestem spokojny że zadość uczyniłem mym obowiązkom i że ojciec twój przytuli cię do swego łona, proś go o błogosławieństwo dla mnie... skoro znajdę chwilę sposobną, napiszę do ciebie i do niego z zapewnieniem o niezłomnej stateczności w danem postanowieniu.

Wyrzekłszy ostatnie słowa wzruszonym głosem, skinął na Chorążego Siemońskiego, wyszli pospiesznie z komnaty.

Anna upadła zemglona.

## IV.

Upłynęło cztery tygodnie, od opisanych powyżéj wydarzeń, a książe Marcin pędził dni samotne, osadzony w więzieniu, w Kamieńcu. Komendant twierdzy wyznaczył mu na mieszkanie wygodną komnatę, w jednéj z baszt narożnych, stary sługa Jakób, ten sam, który pełnił obowiązek odźwiernego w dworku na Miodowéj ulicy, towarzyszył księciu Marcinowi i zabawiał go wśród nudów więziennego życia, znajomi i przyjaciele odwiedzali go z początku i krzepili nadzieją prędkiego oswobodzenia, ale od dni trzech, to jest od czasu przyjazdu Miecznika koronnego do Kamieńca, zabroniono dostępu obcym ludziom do celi więźnia, jeden tylko Jakób miał dozwolonem odwiedzać swego pana w rannych i obiadowych godzinach, z obowiązku służby. Książe Miecznik koronny bawiący od dni trzech w Kamieńcu nie odwiedzał dotąd syna, ale wysłał do niego księdza Drużbackiego, który po kilka godzin dziennie, odprawiał z nim rekollekcje duchowne, nakłaniał go do skruchy i wyznania grzechów. W dniu, w którym więzień pojednał się z Bogiem przez Sakrament pokuty, ojciec miał przystąpić do badania syna; więc około południa, przybył do jego celi w groźnéj postawie sędziego, usiadł na przygotowanem krześle i kazał się zbliżyć Marcinowi, który upadł do nóg jego i ze łzami w oczach błagał przebaczenia za wszystko, w czem kiedykolwiek mógł go obrazić.

— Widzę że skrucha zakołatała do serca Waszmości, masz bowiem słuszne powody żalu za tak hultajskie postępki, powinieneś więc wołać z psalmistą pańskim: „*Domine, ne in furore tuo arguas me, neque in ira tua corripias me!*“ potem powtarzaj z nim następujące znów słowa: „*Convertere Domine et eripe animam meam: salvum me fac propter misericordiam tuam.*“ Tymczasem powstań i słuchaj napomnień i rozkazów ojca! Marcin powstał i z głową zwieszoną oczekiwał wyroku ojca, który tak prawił daléj:

— Nie będę roztrząsać dawnych twych postępków, jeżeli szczerze pojednałeś się z Bogiem, możesz spodziewać się łaski i przebaczenia, ale powinieneś już wiedzieć o tém, że aby skrucha była zupełną, potrzeba zadość uczynienia. Oprócz zabójstwa Jundziłła w Nieświeżu, oprócz dawnych awantur w wojsku pruskiem i zaciągania na rzecz ojcowskiego majątku długów, splamiłeś w ostatnich czasach twe imie wielką imfamją, uwiodłeś pannę z domu twéj siostry i pomimo wyraźnego mego rozkazu, nie zerwałeś z nią haniebnego związku, nawet już w trakcie pokuty, pisałeś listy do niéj z więzienia...

To powiedziawszy, pokazał Ks. Miecznik koronny, synowi, list pisany do Wyleżyńskiéj, który jeden z sług jego przejął i oddał mu przed kilku dniami.

— Nie wypieram się wcale, pisałem ten list do niéj; sądzę, że W. Ks. Mość, jako miłościwy ojciec, wybaczy grzech synowi, który pragnie chwilową płochość, wynagrodzić wiernością i dochowaniem przysięgi.

— Mówisz mi Waszmość, że grzech swój chcesz wynagrodzić wiernością, a ja odpowiadam na to z góry, że nic tych słów nie rozumiem wcale, ponieważ Waszmość jesteś nie posłusznym i niewiernym synem, więc nic nie wiem o jakiéj wierności mi prawisz?

— Przysiągłem pannie Wyleżyńskiéj...

— Nie waż się mówić mi o téj przysiędze! z oburzeniem podnosząc się z krzesła zawołał ojciec. Nie mogłeś, nie miałeś prawa, przysięgać wiary kobiecie, która nie może być nigdy twą żoną...

— Wybacz W. Ks. Mość, najmiłościwszy ojcze, ale...

Tu zatrzymał się nagle młodzieniec, jakby nie śmiał dokończyć zamierzonego wyznania.

— Ale?... podchwycił Miecznik, a dobrze że powściągasz się Waszmość w mowie i nie kończysz, jeżeli to co miałeś na myśli nie zgadza się z ojca twojego wolą.

Marcin, po chwili namysłu, podniósł rękę w górę i rzekł drżącym głosem:

— Bóg mi jest świadkiem, że nie myślałem się sprzeciwiać ojcowskim rozkazom, ale musiałem wyrwać z niebezpieczeństwa osobę, która inaczéj wyrzucała by mi słusznie przyczynę swego nieszczęścia, chroniąc Annę Wyleżyńską przed surowością praw krajowych i gniewem jéj ojca, zawarłem z nią związek małżeński...

— Śmiesz mi mówić o tem? zawołał z rozpłomienionem obliczem książe Miecznik; ty, syn mój Lubomirski, przyznajesz się, że poślubiłeś pannę bez imienia, płochą, nikczemną zalotnicę?

— Anna jest niewinną!

— Nie wspominaj mi o tém, jeżeli nie chcesz doświadczyć srogości mojego gniewu. Porzuć ten związek natychmiast, nie waż się pisać jednéj litery, wybij sobie z głowy te płoche i haniebne amory, które grób już wykopały matce, a tak srodze ranią serce ojcowskie.

— Wybacz W. Ks. Mość ojcze mój i dobrodzieju, ale nic mię z Anną rozłączyć już nie może... bo oto jest akt naszego ślubu. To powiedziawszy, podał Marcin dokument ojcu, który nie czytając go wcale, podarł natychmiast na setne części i rzucił z pogardą na podłogę.

— Nie chcę wiedzieć o waszym ślubie, związek ten wbrew rozkazom ojca, jest występny i kazirodny!

Książe Miecznik, wymawiając przytoczone dopiero słowa, przechadzał się po pokoju szybkim krokiem, poczem nagle zatrzymał się przed synem i dodał:

— Jeżeli trwać będziesz nadal w tym uporze i nie zerwiesz tego niecnego związku, długa i sroga czeka cię kara. Pamiętaj nieposłuszny synu, że łacno nie zmiękczysz sprawiedliwego gniewu ojca, prośbą ani łzami, napróżno wyznaczyłem ci czas do skruchy i poprawy, zatwardziałość twoja jest wielka, ale wiedz także, że wola moja jest niezmienna i nic jéj skruszyć nie zdoła.

— Ojcze, wszystko co rozkażesz uczynię, ale związku tego nie zaprę się nigdy przed światem.

— A więc ja się wypieram ciebie, wyrzekam się twego oblicza i wzroku!

Marcin chciał rzucić się do nóg ojcu, ale Miecznik koronny odepchnął go z gniewem:

— Precz, precz z moich oczów! nie godzien jesteś dotknąć się mojéj stopy; odkąd pogardziłeś ojcowską miłością i wolą, pocałunek twój każdy jest pocałunkiem Judasza.

To powiedziawszy, udał się ku drzwiom książe Miecznik, ale jeszcze raz odwrócił się na progu i rzekł do syna:

— Wiedz, że odpowiadać będziesz za trzy rodzaje występków: za zabicie posesjonata, szlachcica w napadzie gwałtownéj furji, za marnotrawstwo i długi na rzecz ojca zaciągane, nakoniec za gwałt wyrządzony domowi swéj siostry, przez porwauie panny z jéj fraucymeru. Gotuj się Waszmość jutro w podróż do Białego-Stoku, gdzie doświadczysz skutków wojennego sądu za wszystkie gwałtowne i łotrowskie postępki!

Książe Miecznik, wychodząc, zatrzasnął drzwi z łoskotem, kiedy syn załamał ręce z boleścią, a obłędnym wodząc na około wzrokiem, powtarzał po trzykroć: zginąłem!

## V.

Na gościńcu z Kamieńca do Białego-Stoku, toczył się podróżny powóz otoczony strażą wojskową, z pułku nadwornego Księcia Miecznika koronnego, dowódzca eskorty, Chorąży pancerny i pułkownik pułków nadwornych Siemoński, jechał na czele; zbliżywszy się do zajezdnego domu, kazał zatrzymać się woźnicy. Skoro powóz stanął, z okienka wychylił

głowę młody mężczyzna i zapytał się Chorążego czy mu dozwala wysiąść, na co otrzymał przychylną odpowiedź. Więzień ten, książe Marcin Lubomirski, długim osłonięty płaszczem, wszedł do gospody, a za nim Chorąży Siemoński; żołnierze z nadwornego pułku, pozsiadali z koni, a powóz wjechał do bramy

Podróżni weszli do obszernéj izby o dwóch oknach, następnie zasiedli w milczeniu na jednéj z ław drewnianych, które stały pod oknami; na końcu drugiéj ławy siedzieli dwaj mężczyźni w żupanach i kontuszach, młodszy liczący około lat ośmnastu, bacznym wzrokiem przypatrywał się przybyszom. Książe Marcin, spostrzegłszy młodzieńca o którym mówimy, okazał widoczne pomięszanie, potarł ręką czoło i spuścił oczy, jakby rad był uniknąć jego widoku, ale tamten zerwał się z ławy, poskoczył szybko ku niemu, a zatrzymując się w odległości dwóch kroków, zawołał:

— Co widzę? nie spodziewałem się tego szczęścia, kiedy wstąpiłem do téj gospody, że tu J. O. Księcia, mego dobrodzieja, oglądać będę.

— Jan Hryniewicki! rzekł smutnie książe, nie mogąc ukryć nie miłego wrażenia, którego doznał z powodu spotkania z towarzyszem lat dziecinnych, w tak przykréj dla niego chwili.

— Tak jest, Jan Hryniewicki, ścielę się do stóp W. Ks. Mości, dawnego mego dobrodzieja. Fortunny to dla mnie wielce wypadek zrządził, że oglądam dziś oblicze J. O. księcia i' pana. To powiedziawszy, postąpił krok jeden i ścisnąwszy za kolana księcia Marcina, dodał półgłosem:

— Nieszczęśliwy jestem bardzo i zamyślałem właśnie w tym podłym moim stanie, udać się pod protekcję W. Ks. Mości, któréj znaną jest dobrze surowość mego ojca, dawnego sługi J. O. księcia Miecznika dobrodzieja. Odkąd ojciec mój, z łaski swego dobroczyńcy gospodaruje we własnym majątku, zażywa mię do różnych posług, za które tak częstemi płaci mi plagami, że z desperacji i wstydu radbym wstąpić do zagranicznego wojska, gdybym mógł mieć nadzieję protekcji W. Ks. Mości...

Marcin uśmiechnął się gorzko i odpowiedział cichym, urywanym głosem:

— Nie w porę przekładasz mi Waszmość swą prośbę, bo ja sam potrzebuje dziś protekcji, czy nie widzisz że jestem więźniem.

Jan Hryniewicki okazał wielkie zadziwienie, spojrzał podejrzliwym wzrokiem na Chorążego Siemońskiego, który w téj chwili powstawszy z ławy przechadzał się wielkiemi krokami, a że obdarzony był wielką przenikliwością, dorozumiał się, że dawny jego dobrodziéj i wymarzony protektor, w istotnem znajduje się niebezpieczeństwie. Dziwnem zrządzeniem losu, syn dawnego sługi księcia Miecznika, spotkał się z synem tegoż w chwili, w któréj obydwa doświadczali srogich skutków rodzicielskiego gniewu, z tą tylko różnicą, że Miecznik koronny nie zaniedbywał w niczem rodzicielskiego obowiązku i jak najstaranniejsze dał wychowanie synowi, kiedy przeciwnie ojciec Jana Hryniewickiego, rozwijał tylko fizyczne siły syna i nie wiele dbał o jego umysłowość; odebrał go ze szkół Jezuickich, których nie skończył, oddał go do Palestry, ale po jednym roku nie ufając wiele w postęp naukowy syna, kazał mu gospodarować na wsi, gdzie każde niepowodzenie tak sutemi opłacał Jan plagami, że słysząc o werbunkach do zagranicznego wojska, postanowił zaciągnąć się jako ochotnik. i wyłamać raz na zawsze, z pod rodzicielskiéj władzy. Młodzieniec ten jakkolwiek na złéj już był drodze, przechowywał jednak wdzięczność dla dobroczyńcy, który w latach dziecinnych nieraz zasłonił go przed chłostą, kiedy jeszcze ojciec Jana, był ekonomem w dobrach księcia Miecznika, natychmiast więc zrozumiał przykre położenie swego dawnego pryncypała i rzekł do niego:

— Jeżeli W. Ks. Mość jesteś więźniem, chociażby samego Lucypera, ofiaruję moje usługi i *solenissime spondeo*, że wyrwę go z nieprzyjacielskich szponów, niech wiem tylko zkąd i dokąd W. Ks. Mość, pana dobrodzieja mego, wiozą.

— Wiozą mię do Białego-Stoku, do rezydencji JW. Hetmana Branickiego, z rozkazu mego ojca i tegoż Pana Hetmana.

— Mniejsza o to, powiedz jeno W. Ks. Mość, jak wielu w eskorcie i czy chcesz być uwolniony lub nie?

— Któżby nie chciał być wolnym... dwa miesiące więzienia tak dokuczyły mi srodze, że za każdy miesiąc wolności oddałbym rok mego życia, ale trudno zaradzić już temu, sześciu ludzi konwojuje z nabitą bronią, zresztą gdzież uciekać, Biały-Stok ztąd niedaleko...

— Wszystko fraszki, powiedz jeno W. Ks. Mość tak, a wkrótce ujrzysz się wolnym... sześciu przeciwko sześciu poradzi. oprócz tego starego wiarusa, co siedzi pod oknem na ławie, znajdę w przyległym folwarku, czterech uzbrojonych towarzyszów w karabelle i pistolety, dobrzy przyjaciele szkolni i myśliwi zawołani, wielce uradują się, że nastręczy im się sposobność okazania mi przyjacielskiego affektu, w obronie zacnéj osoby W. Ks. Mości...

Rzeczoną rozmowę prowadzili młodzi ludzie po cichu, co zwróciło uwagę Chorążego Siemońskiego, który już parę razy dawał oznaki widocznéj niecierpliwości i niezadowolenia, kiedy zaś rozmawiający nie zważali na to wcale, zbliżył się do nich i rzekł rozkazującym głosem:

— J. O. Książe niech pamiętać raczy, że jest więźniem i że wszelkie pokątne rozmowy są mu zabronione.

Jan Hryniewicki tak niespodzianie zagadniony, schwycił ręką za karabellę i zmierzył zuchwale Chorążego, chciał zapewne coś odpowiedzieć, ale zrozumiawszy skinienie Marcina, powstrzymał się od wszelkich zaczepnych

kroków, oddał ukłon księciu i wyszedł wraz z towarzyszem z izby.

Po dwugodzinnym popasie, więzień nasz, z eskortą, w dalszą wyruszył podróż, w powozie z nim teraz znajdował się dowódzca eskorty, i zabawiał rozmową Ks. Marcina, który nie miał do niego żadnéj osobistéj urazy, wiedział bowiem, że spełnia tylko rozkaz Szefa i swoją powinność, jako pułkownik nadwornych pułków księcia Miecznika. Treścią ich rozmowy były dawne czasy, przypominał stary Chorąży Marcinowi, jako uczył go fechtunku i mustry w dziecinnych latach, opowiadał szeroko różne przygody sejmikowe i sejmowe jego ojca i wyliczał wielkie ofiary, które Miecznik koronny poniósł na ufortyfikowanie obronnych zamków, na ulepszenie Chorągwi pancernéj, która celowała przed innemi, tak pod względem rynsztunku jakoteż doboru ludzi.

Cała godzina upłynęła szybko podróżnym na rozmowie, powóz toczył się zwolna po morzu piasku, w którym tonęły koła, więcéj niż do połowy; droga wiodła do lasu, który długim objął okolicę wiankiem.

Okrzyk: stój! a wraz z nim wystrzał, przerwał długą rozmowę podróżnych. Powóz się zatrzymał; Chorąży otworzył drzwi pospiesznie i wyskoczył z powozu. Książe Marcin wiedział już o znaczeniu tego wystrzału, ale będąc bezbronnym, nie mógł brać w bitwie udziału, więc z niespokojnością oczekiwał jéj rozwiązania. Tymczasem kilka padło wystrzałów, po których nastąpiła niezwyczajna cisza, lecz nie nadługo, okrzyki mięszały się ze szczękiem broni, książe usłyszał dobrze znajomy głos Jana Hryniewickiego: gdzie jest wasz więzień, oddajcie go nam natychmiast, oddajcie nam księcia Marcina!

Więzień nabrał dobréj otuchy, sądził że chwila wybawienia jego nadchodzi, więc wychylił się do połowy z powozu.

Po kilku danych wystrzałach z jednéj i z drugiéj strony, padło dwóch towarzyszów Hryniewickiego i dwóch z pułku nadwornego księcia Miecznika koronnego, pozostali pozsiadali z koni i z okrzykiem poczęli bić się na pałasze. Jan Hryniewicki, chociaż młody jeszcze, nauczył się zażywać korda, będąc w Palestrze, gdzie nie jedną odbył już próbę, więc z podniesionym pałaszem w górę rzucił się na Chorążego Siemońskiego, który uniknął jego ciosu zręcznie i nie wysuwając się zbyt naprzód, stał w obronnéj pozycji, zachowując krew zimną, odpierał zamachy przeciwnika i jednocześnie wydawał rozkaay żołnierzom nadwornym, którzy rąbali się z innemi przeciwnikami. Niedługo trwała walka, wkrótce bowiem przewaga zręczności i siły, okazała się po stronie żołnierzy. Hryniewicki rzucał się na wszystkie strony jak szalony, rozdrażniała go, do wysokiego stopnia, zimna krew Chorążego, który wołał z szyderczym uśmiechem: „wzbyt gorącéj wodzie jesteś WacPan kąpany, ostrzegam że ci to zaszkodzi, lepiéj weź nogi za pas i uchodź z pola, jak ten twój towarzysz co z kresą na łbie dosiadł konia i bez czapki czmycha do lasu.“ Ale Jan Hryniewicki nie zważał na słowa Siemońskiego, ani na ucieczkę towarzysza, którego czyn nikczemny osłabił odwagę innych, którzy pośpiesznie dosiadali téż koni i widocznie zamyślali o wycofaniu się z pola bitwy. Rozgniewany Chorąży pancerny uporem i zarozumiałością młokosa, postąpił krok naprzód i silnem uderzeniem z boku, wytrącił pałasz z rąk przeciwnika i ranił go w ramię, dwaj towarzysze Hryniewickiego ratowali się ucieczką, jeden poddał się dobrowolnie. Dowódzca rozkazał rannego młodzieńca zanieść do powozu, jakoteż trzech innych, którzy na początku wystrzałami z pistoletów ranieni zostali, jeden tylko z żołnierzy nadwornych był zabity, kula bowiem utkwiła mu w saméj skroni. Woźnica i hajduk stali przez cały ciąg bitwy nieporuszeni przy drzwiach powozu, mieli bowiem poleconem przez dowódzcę pilnować więźnia, który był również jak oni nieczynnym świadkiem téj tragedji. Książe Marcin musiał teraz ustąpić miejsca w powozie rannym, dosiadł więc konia wraz z drugim jeńcem, który poddał się dobrowolnie, otoczyła ich straż złożona z czterech nadwornych żołnierzy, którzy z téj bitwy wyszli zwycięzko, bez żadnego szwanku.

Wkrótce ranni w powozie i jeńcy na koniach z eskortą, ruszyli w dalszą podróż ku Białemu-Stokowi.

## VI.

Rok cały upłynął od czasu opisanych powyżéj wydarzeń. Napad Jana Hryniewickiego na eskortę więźnia, usiłowania przyjaciół księcia Marcina w celu oswobodzenia go z niewoli, pogorszały jego sprawę; jak widzieliśmy bowiem, ojciec był surowym sędzią swego syna, oburzały go wielce te pokuszenia przyjaciół, przeciwko wyrokowi jego czynione. Miecznik Koronny na początku 1760 r. porozumiał się z bratem Franciszkiem i z Hetmanem Branickim, względem dalszego losu syna, a z ogólnéj narady wypadło, że dla spokoju rodziny, trzeba koniecznie wywieźć młodego więźnia z kraju, mianowicie do jednéj z pogranicznych twierdz węgierskich. W rzeczonym celu, książe Miecznik podał prośbę do cesarzowéj Marji Teressy, ażeby dozwoliła na umieszczenie niespokojnego i występnego syna na granicy węgierskiéj w twierdzy Mągacz, na lat piętnaście, zastrzegając przy tem, że on sam tylko może skrócić czas więzienia, skoro przekona się o zupełnéj skrusze i poprawie obyczajów syna. Hetman, Jan Klemens Branicki, podał na ręce ambasadora cesarzowéj prośbę i wkrótce przychylną otrzymał odpowiedź, o któréj zawiadomił natychmiast panów Lubomirskich ojca i stryja, a w liście pisanym do ostatniego, nagli względem przyśpieszenia terminu wyjazdu do Mągacza młodego więźnia;

mówi bowiem, że Ks. Marcin wichrzyć nigdy nie przestanie sam, lub przez swoich przyjaciół, o ile pozostawać będzie w kraju, przeciwnie osadzony za granicą, w towarzystwie cudzoziemców i pod dozorem obcych osób, ustatkuje się prędzéj i o istotnéj pomyśli poprawie.

W miesiącu Marcu 1760 roku, książe Miecznik Koronny, wysłał powóz do Białego-Stoku, w którym Chorąży Siemoński, wraz z pułkownikiem Wąsowiczem, mieli pod mocną strażą odstawić Marcina do twierdzy Mągacz; na granicy, w miasteczku Krośnie, straż cesarska miała zastąpić straż polską, zaś Chorąży Siemoński winien był towarzyszyć więźniowi aż na miejsce przeznaczenia. Jednocześnie złożył Miecznik na ręce swego Chorążego następującą instrukcję:

„Dyspozycja moja, według któréj upraszać trzeba dworu wiedeńskiego, aby zalecono konserwować syna mego w miejscu od Najjaśniejszéj Cesarzowéj naznaczonem i żeby tameczny komendant nic nie pozwalał mu nadto, co się tu wyraża:

1. Ponieważ Najjaśniejsza Cesarzowa i Królowa Jejmość, wzgląd mając na osobę i imię moje, naznaczyła miejsce w swojém państwie dziedzicznem, nazwane Mągacz, w wyższych Węgrzech, przeto najprzód za tę dobroczynną uczynność i respekt z najgłębszą dziękuje sumbissją.

2. Do tego tedy miejsca, nazwanego Mągacz, syn mój *comme prisonier de guerre*, zaprowadzony będzie tym sposobem: najprzód eskort z wojska Rzeczy-pospolitéj z Ordynansu zwyczajnego, Hetmana W. Koronnego, zaprowadzi go na samą granicę węgierską, tam stanąwszy odda więźnia, naznaczonemu łaskawie z wojska Najjaśniejszéj Imperatorowéj, eskortowi.

Wysyła książe Miecznik JMPana Siemońskiego, chorążego i pułkownika pułków nadwornych, który ma towarzyszyć synowi na miejsce do Mągacz.

3. Żąda Książe Miecznik, ojciec, aby był dany rewers nietylko od komendanta tamecznéj twierdzy, ale i od dworu wiedeńskiego, jako syn jego na lat piętnaście konserwowany będzie w tymże areszcie, do dalszéj tegoż ks. Miecznika dyspozycji.

4. Tenże ks. Miecznik żąda, ażeby syn jego w Mągacz miał stancją dobrze opatrzoną i wygodną i aby przyzwoita straż była, *alias* warty, od ucieczki zabraniająca. Tameczny komendant ma zabronić synowi najprzód *cum sexu feminino* konwersacji, tudzież z żadnemi osobami tak duchownemi jako i świeckiemi, bądź z Polski, bądź z obcych nacji, tylko zgodnemi poddanemi i wypróbowanemi oficerami tegoż garnizonu. Nadto żąda ks. Miecznik usilnie, ażeby komendant nie dozwolił wychodzić więźniowi z przeznaczonéj dla niego stancji.



Zakochany młodzieniec, przewidując następstwa, schronił się z panną w ustronnym domku leśnika.—(str 60)

5, Zabawa onegoż może być: czytanie książek, granie na skrzypcach, a nic więcéj.

6. Ponieważ, Najjaśniejsza Cesarzowa Jejmość jest zbiorem cnót chrześcijańskich i przykładem świętobliwości, żąda ks. Miecznik ażeby jaki ksiądz świętobliwy uczęszczał do jego syna, mszę dla niego miewał, zachęcał

go do cnoty przez spowiedź, komunję i pokutę za grzechy.

Jeżeli tameczny komendant uzna za potrzebny dla zdrowia spacer, może tego dozwolić, z warunkiem takiego opatrzenia, aby ten spacer nie był okazją do ucieczki, lub przez skoczenie z wałów, z desperacji, nie stał się przyczyną śmierci.

8. Względem wiktu, stołu, lokaja i innych potrzeb, ma od ks. Miecznika dyspozycję P. Siemoński, który na miejscu w Mągacz ułoży wszystkie na piśmie z tamecznym komendantem.

W pierwszych dniach Maja, przyjechał Chorąży Siemoński do Białego-Stoku z rzeczoną instrukcją; przeczytał rozkazy Miecznika Koronnego i Hetmana więźniowi i oświadczył mu, ażeby natychmiast gotował się do podróży.

Ks. Marcin wiedział już o wyroku, który go czeka, nie spodziewał się jednak, ażeby wykonanie tegoż nastąpiło tak prędko, przeczytawszy więc list ojca, zawołał z boleścią:

— Znaczne są wprawdzie grzechy, które ściągnęły na mnie słuszny gniew ojca, ale miałem dotąd otuchę w miłosierdziu rodzicielskiem, i nie sądziłem aby surowość jego była tak wielką; dziś widzę, że ojciec jest najgroźniejszym sędzią, skoro na krew własną żadnego nie daje baczenia.

— Przykro mi, odpowiedział Siemoński, że nie mogę w tém nic dopomódz W. Ks. Mości, instancjonowałem nieraz do Ks. Miecznika Koronnego, aby miał wzgląd na młode lata syna, którego wypiastowałem prawie na moich rękach, Miecznik zdawał się już raz nakłaniać do mojéj prośby i myślałem, że poprzestanie na zawyrokowaniu kilkoletniéj detencji w Białym-Stoku. Ale Hetman Wki Koronny, a osobliwie stryj Wasz, książe Starosta Buski, popsuł mi wszystkie szyki, przekładał bowiem ciągle bratu, że dla spokojności i honoru rodziny, trzeba W. Ks. Mość koniecznie wywieźć z kraju, tak więc musiałem zaprzestać dalszych instancji, z obawy bym też nie został dyskredytowany w opinji Ks. Miecznika Koronnego. Najwięcéj pono złego przyczynili ci przyjaciele W. Ks. Mości, szczególnie ten łotr Hryniewicki, co zabił wystrzałem z pistoletu jednego żołnierza z nadwornego pułku, a który taką miał chrapkę na moją skórę, że brzęczał mi i brzęczał nad uchem, aż potężnego oberwał guza, co uspokoiło go znacznie, że jak niemowlę dał się potem włożyć do powozu.

— Bóg zapłać za pamięć o mnie, Mości Chorąży, poddaję się z pokorą rodzicielskiéj woli, przeto powiedźcie mi proszę, jak prędko mamy wyruszyć w podróż?

— Dziś jeszcze, w przeciągu dwóch godzin; taki jest rozkaz Hetmański.

— Czy mogę napisać ztąd jeszcze list z pożegnaniem do ojca?

— Może W. Ks. Mość pisać, wyprawię z tym listem natychmiast umyślnego posłańca.

Książe Marcin zasiadł do pisania listu, który brzmiał w następujących słowach:

Jaśnie Oświecony Książe i Dobrodzieju!

Kiedy piszę te słowa, miecz boleści przeszywa mi serce, oczy we łzach toną... żal mi oddalać się, może na zawsze, od rodzicielskiego oblicza, żal opuszczać tę ziemię, która jest wspólną naszą karmicielką i matką. Taka jest wola twoja J. O. Książe, ojcze mój i dobrodzieju, korzę się przed nią i wyznaję że zgrzeszyłem mocno i zasłużyłem na gniew twój sprawiedliwy. Mam jednak jedną prośbę, którą w mem nieszczęściu, ośmielam się zanieść do łaskawych stóp ojca i dobrodzieja mego. Krótkie jest życie nasze, choć obfite w klęski i różne boleści, jako mówi Job pokutujący: „*Home natus de muliere, brevi viveus tempore, repletur multis miseries*,“ ale jeżeli każdemu wypada pamiętać na godzinę śmierci, tem więcéj nieszczęśliwemu, który tylko milczenie i noc więzienia ma przed oczami. Owóż znajdując się w tem okropnem położeniu, że na obcéj ziemi zamknę może nie zadługo powieki, błagam łaski Jaśnie Ośw. Księcia Dobrodzieja mego, ażeby na wypadek méj śmierci, raczył kości moje sprowadzić do ojczyzny i nie dopuścił ażeby obcy ludzie, obcą zasypywali je ziemią, która jeno w ojczyźnie lekką i znośną mi być może.

Oddając się zatem łasce J. O. Waszéj Książęcéj Mości Dobrodzieja z największym respektem.

Szczerze kochającym synem i najniegodniejszym podnóżkiem.

M'J. Lubomirski.

Oddał po napisaniu Ks. Marcin list Siemońskiemu, który tak był wzruszony widokiem młodzieńca, że odwrócił się natychmiast, by nie spostrzegł łez w jego oku; poczem z największym spokojem wybierał się więzień do dalekiéj podróży.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

# KILKA WSPOMNIEŃ Z PODRÓŻY.

## List A. E. Odyńca do pani Aleksandry Borkowskiéj.



Żądasz pani do „Kółka Domowego“ kilka wspomnień z dawnéj podróży mojéj we Włoszech. Wola pani i chęć uczynienia jéj zadość przemagają we mnie, nad postanowieniem, aby wspomnieniami swojéj przeszłości współżyjących za życia nie nudzić. Bo i któż mi zaręczy, że znowu, jak już raz było, nie znajdzie się ktoś taki, co choć o mil kilkaset oddalony odemnie i żadnych ze mną nie mający stosunków, zarzuci mi jednakże, że to lub owo nie było tak, jak tu opowiadam, dla tego tylko, że się to jemu nie zdaje, lub nie podoba; albo że najprostsze przypomnienie szczegółów téj podróży, nie będzie się mu zdawało przechwałką; dla tego tylko, że jużciż każde mniéj więcéj, musi się łączyć z nieoddzielnym jéj towarzyszem, a towarzyszem tym był Adam Mickiewicz. Ale ponieważ, raz jeszcze powtarzam, chęć uczynienia zadość woli pani, jest dla mnie większą podnietą, niż bojaźń takich sądów i sędziów odrazą, mam zaszczyt przesłać pani tym razem kilka wspomnień z kilkodniowego pobytu w Medjolanie, mogących przedewszystkiem dać wyobrażenie o serdecznéj uprzejmości włochów, któréj ja sam po wielekroć doznałem, a która chyba ze starą uprzejmością naszą porównaną jedynie być może.

Przed wyjazdem z Rzymu, w Lipcu 1830 roku, poszliśmy pożegnać zacnego ziomka i przyjaciela naszego, znakomitego artystę malarza, pana Kornelego Wojciecha Statlera i młodą jego małżonkę, którą na kilka dni przedtem, jako drużbowie prowadziliśmy do kobierca. Zastaliśmy u nich młodego malarza włocha, rodem z Medjolanu, pana *Giacomo Sogni*, który się ze mną zwłaszcza od razu bardzo serdecznie zapoznał, a słysząc, że mamy przejeżdżać przez jego rodzinne miasto, oświadczył chęć polecenia nas znajomości swojego brata, który tam był naczelnym dozorcą sławnego miejskiego szpitala, a przytem przyjacielem Manzoniego, w którego domu nawet mieszkał i innych literatów i artystów. Gdyśmy z podziękowaniem tę ofiarę przyjęli, oddarł—nawet nie odstrygł—świstek jakiegoś papieru i z pośpiechem napisał na nim kilkanaście wyrazów. Wyznaję, że tego rodzaju rekomendacja nie wielkie wróżyła mi powodzenie; schowałem ją jednakże do pugilaresu i nazajutrz puściliśmy się w drogę.

Kilka już dni bawiliśmy w Medjolanie, gdy mi wpadła pod rękę owa kartka, o któréj byłem całkiem zapomniał. Towarzysz mój ani słuchać nie chciał, aby miał iść z wizytą dla jéj oddania, Poszedłem więc ja sam jeden, a nie zastawszy pana Sogni w domu, zostawiłem mu wraz z kartką brata, bilety od nas obudwóch.

Nazajutrz, jeszcześmy spali, kiedy pukanie do drzwi obudziło nas. Był to właśnie pan Sogni; człowiek około lat 40, miernego wzrostu, dobréj tuszy, rumianéj i wesołéj twarzy, na któréj malowała się szczerość i uprzejmość. Nie zimném podaniem ręki, ale uściskiem i dwukrotném ucałowaniem powitał nas po kolei, mówiąc, że dawno miał już list od brata, zapowiadający nasze przybycie i że czekał nas z upragnieniem. „Ale że pewno panom czas drogi—dodał—nie będziemy go tracić napróżno. Zaczniemy naprzód od zwiedzenia szpitalu, bo choć to może dla panów rzecz nic ciekawa, ale trzeba wiedzieć, że lepiéj urządzonego szpitalu nie ma w całéj Europie.“ (Czy to prawda? ja nie wiem). „Następnie, kończył daléj, zwiedzimy pracownie wszystkich naszych malarzy i rzeźbiarzy, z których wielu bardzo jest niepospolitych, a którzy wszyscy dzisiaj czekać na nas będą. Potem raczycie panowie przyjąć u mnie mały obiadek (*piccolo pranzo*), gdzie poznacie dwóch, po Manzonim. najsławniejszych naszych poetów: pp. Tomasza Grossi i Tomasza Torti, przyjaciół Manzoniego i moich, którzy już wiedzą przezemnie o panach i bardzo poznać ich pragną. Szkoda że Manzoniego nie ma w mieście; bawi przez lato w swojéj willi na wsi, o 4 mile (włoskie) od miasta. Ale przyjechałby niezawodnie, skoro bym go poprosił; tylko że wiem od Grossego, który wczoraj od

niego powrócił, że żona jego jest chora, a więc jéj odstąpić nie może.“ Wszystko to mówił tak naturalnie, tak prosto, nie usiadłszy nawet, podczas gdyśmy się co rychléj ubierali, jak gdybyśmy byli jego najdawniejsi znajomi.

Gdyśmy byli gotowi i wyszli z nim razem, zastaliśmy powóz czekający przed bramą hotelu. Zaprosił nas do niego i sam chciał koniecznie usiąść na przodzie. Nie dopuściłem wszakże tego, dając mu słowo, że inaczéj nie wsiądę. Zawiózł nas najprzód do kawiarni, gdzie razem z nami pił kawę i sam za wszystko zapłacił. Następnie pojechaliśmy do szpitalu, którego czystość i urządzenie rzeczywiście było wzorowe. (Szpital św. Ducha w Warszawie z wielu mi go względów przypomniał). Oglądanie to trwało z godzinę; poczem z przybytku słabości cielesnych, przeszliśmy w artystyczny świat ducha.

Pierwszą pracownią do którejśmy wstąpili, była pracownia rzeźbiarza p. *Marchesi*, pracującego właśnie nad płaskorzeźbą do arku *della Pace*. Składała się z dwóch części, w pierwszéj Cesarz Franciszek I koronujący Lombardję; w drugiéj bitwa pod Lipskiem. W téj ostatniéj, gruppy zwłaszcza niewolników, pełne wyrazu, zdały się nam wielkiéj piękności, co wyraźnie cieszyło artystę. Z pięciu pracowni malarzy, któreśmy po kolei zwiedzili, w trzech mianowicie, pp. Hayez, Pelagio-Palaggi i Cummerio, mogliśmy widzieć i pojąć w całéj pełności i blasku, nowy kierunek nowéj jeszcze wówczas szkoły medjolańskiéj, w któréj charakter historyczny stanowczo nad idealnym przemagał. Koryfeuszami téj szkoły byli właśnie trzéj pomienieni malarze, tak jak Manzoni reprezentował ją w literaturze. Walka romantyków z klassykami, zajmująca podówczas całą Europę, toczyła się z zapałem i we Włoszech. Poznanie i zamiłowanie literatury niemieckiéj i angielskiéj dało jéj początek, jak wszędzie; tylko że tu spokojny wpływ Waltera-Scotta górował widocznie nad namiętnym Byrona. Manzoni w swoich *Promessi Sposi* (zaręczeni), a ci malarze w obrazach, naśladowali wiernie charakter i metodę szkockiego barda, już to w spokojnym układzie i toku treści, już w dokładności wykończenia szczegółów, przypominających epokę, z któréj przedmiot był wzięty. Obrazy p. Palaggi z historji medjolańskiéj były tego najwybitniejszym dowodem. Więcéj poezji i uczucia dawało się dostrzegać w utworach p. Hayez, a dwa obrazy, jeden przedstawiający scenę z tragedji „Fiesko“ drugi z Marji Stuart, świadczyły o szczególniejszém jego zamiłowaniu w Szyllerze. Cummerio pracował nad kartonami fresków, które miał wkrótce malować w kościele św. Sebastjana. Pracownie ich wszystkich dawały świadectwo o zamożności, a więc o dobrem powodzeniu artystów. We wszystkich, oprócz ich własnych utworów, były obrazy dawnych znakomitszych mistrzów, a nadto u p. Palaggi kosztowny zbiór starożytności. Ktokolwiek przebył kilka miesięcy we Włoszech na zwiedzaniu różnych galerji, nic dziwnego, że spojrzawszy na obraz, z wewnętrznych lub zewnętrznych cech jego, może imię autora odgadnąć. Udało się to nam po razy kilka, przy oglądaniu wyżéj wspomnianych obrazków zdobiących pracownie artystów. To nam jednało widocznie dobrą opinią u nich, a nasz uprzejmy przewodnik tryumfującém spojrzeniem zdawał się mówić każdemu: „widzisz, jakich ci znawców przywiozłem. To też wszyscy przyjmowali nas nader uprzejmie; lecz chociaż byli uprzedzeni przez p. Sogni, który sam był uprzedzony przez brata, że Mickiewicz jest sławnym w swoim kraju poetą, żaden z nich jednak rzeczywistych zasług jego nie wiedział. Dopiero z jego rozmowy, którą z ożywieniem prowadził; z wysokich myśli lub głębokich uwag o sztuce, o potrzebach i duchu czasu, etc etc., widać było jakie wrażenie stopniowo ich ogarniało i jak grzeczna z razu uprzejmość zamieniła się powoli w szczerą i gorącą serdeczność, świadczącą o wrażliwości serc artystów i włochów. Cummerio zwłaszcza pod tym względem wszystkich swoich towarzyszów przewyższył Uściskał po razy kilka Adama, zacierał ręce z radości i śmiał się do rozpuku, kiedy mówiąc o różnicy pojęć i walce klassyków i romantyków w literaturze i sztuce, opowiedziałem mu scenę z Torwaldsenem w Rrzymie, którą też tu sposobem nawiasowym przytoczę.

Torwaldsena widywaliśmy u księżnéj Zeneidy W., ale że zawsze tylko na większych zebraniach. nie miałem szczęścia być mu przedstawionym. Nastąpiło to dopiero w Lutym 1830 roku, na wieczorze u pani Klustin, któréj dom, gdziekolwiek mieszkała, w Paryżu, Genewie, czy w Rzymie, był zawsze jakby zbiorowym punktem wszystkich znamienitości literackich i artystycznych. Działo się to za uroczym wpływem jéj córki, panny Anastazji, późniejszéj hr. Circourt, którą osiemdziesięcioletni przyjaciel jéj i wielbiciel, filozof genewski Bonstetten, nie inaczéj w listach swych i rozmowach, jak uroczą dziesiątą muzą, (charmante dixieme muse) nazywał. Owóż wieczór o którym mowa, był u tych pań na cześć sławnego romansopisarza Fenimora Coopera, który wtenczas z rodziną swoją przez czas jakiś w Rzymie przebywał. Towarzystwo liczyło wiele pierwszorzędnych gwiazd ówczesnéj artystycznéj sławy europejskiéj. Był Torwaldsen, Cammucini, Catel (pejzażysta) i obaj Vernetowie, ojciec i syn. Panna Anastazja przedstawiła nas Torwaldsenowi. Był to niski i chudy staruszek, z ubielonym już całkiem włosem, ale przytem tak żywy, ruchawy i tak giestykulujący w rozmowie, że wziąćby go można było raczéj za syna najgorętszéj strefy Włoch, a nie lodowatéj Skandynawji. Dowiedziawszy się, że przybyłem z Warszawy, zapytał mię, jakie tam wrażenie zrobił model jego, rokiem przedtem posłany. Odpo-

powiedziałem jak było w istocie, że wszyscy admirując artyzm, żałują, że nie dość przypomina osobę, którą ma wyobrażać. „*Siete i barbari, signori miei!* krzyknął zrywając się z krzesła, gdy jakaś odpowiedź moja bardziéj go jeszcze rozdrażniła. „Jesteście barbarzyńcy, moi panowie! I dla tego nie lubię posyłać dzieł moich do krajów, gdzie niema poczucia sztuki.“ Wykrzyknik ten i zerwanie się z krzesła, zwróciły nań uwagę innych. Pierwsza księżna Zeneida wmięszała się do rozmowy i stanęła po mojéj stronie. W ślad za nią przystąpili drudzy i gdy ja, jak flankier w bitwie, usunąłem się na stronę, zawiązała się długa i ożywiona rozmowa, w któréj żywość i zapał Torwaldsena, przypominały mi koryfeusza klassyków naszych, czcigodnego Kajetana Koźmiana, gdy równie z ubielonym włosem i z niemniéj młodzieńczym zapałem, przeciw ideom nowéj szkoły, z przekonania i z dobrodusznością wojował. Niepodobna mi jest przypomnieć toku całéj owéj rozmowy; z notat tylko mych widzę, że z kolei brali w niéj udział wszyscy wyżéj wspomnieni goście, z pomiędzy których, jeden tylko malarz Catel, stanowczo stronę Torwaldsena popierał. Rzecz głównie szła o przewagę, czy ideału, czy prawdy rzeczywistéj i historycznéj w sztuce. Wernet ojciec, musiał bronić ostatniéj, (*oratio pro domo sua*), bo mam zanotowaną odpowiedź jemu Torwaldsena: „że inna rzecz pędzel i płótno, a inna dłuto i marmur“. Wernet syn mówił, że mając malować obraz wystawujący Rafaela malującego loże watykańskie, będzie się starał o najpodobniejsze portrety uczniów jego i przyjaciół, których chce u stóp rusztowania pomieścić. Cammucini opowiadał o sobie, że karton do obrazu „Śmierć Wirginii“ robił na temże Forum, gdzie ona śmierć tę poniosła; a mając malować czyn Horacjusza-Koklesa, kilka razy w nocy przepływał łódką Tyber, w tém miejscu gdzie miał stać most, ktorego on bronił. Obaj zatem byli wyraźnie za prawdą rzeczywistą, ten osób, ten miejscowości. Torwaldsen utrzymywał, że pomnik jest przeznaczony nie na to, aby przypominał samą osobę, lecz tylko pamięć i czyny téj osoby. Podczas téj rozmowy ogólnéj, Adam z Wernetem ojcem, rozmawiali minut kilka na stronie i widać było po obu, że się w zdaniach zgadzali. Gdy się rozmowa przeciągała za długo, córka domu chcąc jéj koniec położyć, a może i wyprowadzić Torwaldsena z kłopotu, wzięła sama w niéj udział i ogólną zasadę kwestji zręcznie do muzyki zwróciła. Poczem usiadła do fortepianu i zagrała kilka rzewnych melodji ukraińskich. Wszyscy zbliżyli się ku niéj i otoczyli instrument Cooper stał tuż obok jéj krzesła i unosił się nad rzewnością melodji; Torwaldsen zaś stojący niedaleko odemnie, odezwał się do pani domu: „Je ne savais pas madame, que mademoiselle votre fille est si *vertueuse.*“ Miało to znaczyć *virtuosa.* Albowiem arcy-mistrz dłóta, mniej biegle władał językiem francuzkim i wiele o nim z tego względu pocieszuych anegdot krążyło

Tu jeszcze bierze mię pokusa zrobić nawias w nawiasie i powiedzieć słówko o Cooperze. Gdyby zaś ta dysgresja nie była w miejscu, możesz ją pani wykreślić; ja bowiem pisząc dla pani, wyznaję, że o dalszéj publice nie myślę, a tylko radbym odgadnąć, co pani przyjemność zrobić może.

Owóż Cooper był doskonałym kontrastem Torwaldsena. Zimny, poważny, wysokiego wzrostu, spokojnéj i łagodnéj twarzy, a przytem tak pełen jakoś prostoty i dobroduszności, że mi wciąż mimowolnie przypominał naszego Karola Lipińskiego; najskromniejszego pewnie ze wszystkich *sławnych* artystów na świecie. Słysząc od niego że ma jechać do Drezna, zapytałem zaliby nie miał zamiaru lub chęci zwiedzenia choćby przynajmniéj Krakowa czy Warszawy, gdzieby go równie serdecznie jak z uwielbieniem przyjęto. Odpowiedział, że sam istotnie myślał kiedyś o tem i radby poznać nowy kraj i naród: „*Mais, Monsieur*, (dodał), *qui voyage avec cinq jupons, n'est pas maitre de sa volonté*, (Podróżował z żoną i czterema córkami, które wszakże na tym wieczorze nie były). Pan K. urzędnik ambassady, przedstawiony mu przez panią domu, powitał go dobornemi słowy, mówiąc między innemi: „*Je m'estime heureux monsieur, de faire la connaissance d'un homme, dont la gloire remplit les deux mondes.*“ Cooper, który przed chwilą swobodnie z otaczającymi siebie rozmawiał, zmięszał się na ten komplement i kłaniając się wzajem z widocznem ambarasem, odpowiedział nań tylko: „*Oui monsieur.*“ Wszyscy obecni przygryźli wargi, widząc wzajemne zmięszanie pana K., który na tę niespodzianą odpowiedź, języka w ustach, jak to mówią, zapomniał.

Ale powracam do Medjolanu i do serdecznego o wesołego p. Cummerio, którego to opowiadanie moje o Torwaldsenie niezmiernie ucieszyło. Sogni widocznie cieszył się za mnie że sprawiłem takie wrażenie. Ale to nic w porównaniu pociechy, jakiéj wnet za nas obudwóch w bibliotece publicznéj doświadczył.

Udaliśmy się tam wprost z pracowni p. Cummerio. Bibliotekarz, (nazwiska nie pamiętam), wyraźnie był już uprzedzony. Spotkał nas bowiem w półsali i powitawszy uprzejmie, oświadczył że oczekując na nas, od rana już z nami obcował. Spojrzeliśmy zadziwieni, on zaś na rozwiązanie zagadki, pokazał nam i podał do ręki rozłożony na stole zeszyt „*Revue Encyclopedique*,“ dziennika wychodzącego w Genewie, w którym bawiący tam natenczas Zygmunt K. umieścił napisany przez siebie artykuł o nowéj poezji polskiéj. W artykule tym oddając hołd należny genjuszowi i wpływowi Adama, autor z natchnienia osobistéj przyjaźni, tak pochlebnie wspominał o mnie, że musiałem się zarumienić po uszy, czując jak

to dalece rzeczywistą wartość przewyższa. Ale poczciwy nasz Sogni, który o tem nie wiedział i brał wszystko za dobrą monetę, rozpłakał się formalnie z radości i nuż uściskać w kolej i całować nas obu, a w końcu i bibljotekarza, z którym żegnając się przy wejściu, szeptał mu coś do ucha, jak to i poprzednio już czynił, przy rozstaniu się z kilku artystami, których zwiedziliśmy pracownie. Nie wiedzieliśmy co to znaczy, aż później się dopiero wyjaśniło, że ich wszystkich zapraszał na obiad.

Była już trzecia po południu, gdyśmy wraz z gospodarzem do gościnnego jego domu przybyli. Rodzina jego składała się z matki staruszki i młodéj i ładnéj siostrzyczki, które nas z niewymuszoną a szczerą uprzejmością przyjęły, mówiąc, że mają to sobie polecone przez syna i brata z Rzymu. W salonie było już dwóch gości, oba w wieku średnim, którzy stali na boku przy pierwszéj naszéj rozmowie z damami. P. Sogni zapoznał nas z nimi nawzajem jako swoich dobrych przyjaciół. Byli to Tommaso Grossi i Tommaso Torti, obaj znakomici poeci, a pierwszy z nich, najbliższy przyjaciel Manzoniego, w którego domu, równie jak p. Sogni mieszkał. Dzieł ich nie znaliśmy wcale; p. Sogni tylko po drodze opowiedział nam ich tytuły i rodzaj. Grossi pisał powieści historyczne, w kształcie epopei, Torti same poezje liryczne. Grossi przytem był adwokatem, Torti należał czynnie do wydawnictwa dzienników: „*Eco*, poświęconego wyłącznie literaturze i „*Indicator della Lombardia*,“ tłumaczącego ważniejsze artykuły z różnych europejskich dzienników.

Pierwsza zaraz rozmowa zaczęła się o Manzonim i Grossi ujął mię niezmiernie za serce przez zapał z jakim mówił o swym przyjacielu, którego wyższość z uwielbieniem uznawał, a kochał czule i serdecznie jak brata. Nie ma szczęścia większego na świecie, jak podobne uczucie w duszy. Nawzajem też zjednałem affekt p. Grossi, dzieląc gorąco jego uwielbienie i deklamując: „*Il cinque maggio*,“ (piąty Maja), jedną z najpiękniejszych od Manzoniego i jedną z najwznioślejszych poezji, jakie kto kiedykolwiek na śmierć Napoleona napisał. Nauczyłem się jéj na pamięć w Rzymie i wyznaję że się chciałem popisać. Pan Sogni i tu znowu cieszył się niewymownie, a Grossi słuchał z nieudaném wzruszeniem. Gdym skończył, ścisnął mię mocno za rękę i rzekł tonem podniesionego uczucia: „Czy pan myślisz, że Manzoni dba o światową sławę literacką? Nad wszystko co dotąd napisał, kładzie on wyżéj swoje hymny. (*Inni sacri*) które też równych sobie w literaturze naszéj, a może i w żadnéj nie mają.“ Nie znałem ich, lecz obiecałem panu Grossi, że będę starał się poznać. On zaś nim był czas do obiadu, zaprowadził nas do do mieszkania Manzoniego, od którego klucz miał u siebie, a sam mieszkał tuż obok przez wązki korytarz. Umeblowanie skromne; gabinet Manzoniego dość szczupły, bez żadnéj literackiéj pompy i wystawy, jak to np. późniéj w gabinecie p. Wiktora Hugo widziałem; z oknami na mały ogródek, który sam własną ręką uprawiał, mając szczególne zamiłowanie w kwiatach. W biórku, klucz od którego był też u p. Grossi i które nam uprzejmie otworzył, widzieliśmy stos półarkuszów, zapisanych prozą i nie zbyt we wzorowym porządku ułożonych. Był to bruljon nowego dzieła, nad którem, jak powiadał Grossi, Manzoni już od lat dwóch pracuje i którego głównym przedmiotem ma być wyjaśnienie zasad moralności chrześcijańskiéj i dobrodziejstw kościoła dla ludzkości (*) krucyfiks zawieszony nad biórkiem, jedyna ozdoba ścian tego przybytku pracy, wskazywał, zkąd autor czerpie natchnienie.

Gdyśmy do salonu p. Sogni wrócili, zastaliśmy w nim grono nowo-przybyłych gości. Byli to pp. Hayez, Palaggii, Cummerio i bibliotekarz. Rzeźbiarz Marchesi nie mógł odpowiedzieć wezwaniu i miejsce jego wakowało u stołu. Matka i córka siedziały obok u wyższego końca; z boku po prawéj stronie matki Adam, po lewéj przy panience ja. Sam gospodarz, obok wakującego krzesła, zajmował koniec ostatni. *Minestra* (zupa) z jarzyn i zaraz po niéj następująca *stuffata*, (sztufada) posłużyły nam za pierwszy przedmiot do rozmowy, a tym było podobieństwo kuchni naszéj z włoską, co nam niegdyś królowa Bona, razem z uprawą różnych jarzyn przyniosła. Wpływ wzajemny obu narodów, w dawnych i nowszych czasach, a zwłaszcza Włoch na Polskę, przez kościół i oświatę, był przedmiotem dalszéj rozmowy, którą Adam głównie zagajał, z wielkiem zainteressowaniem i zadowoleniem słuchaczy. Pani Sogni tymczasem zwyczajem prawdziwéj gospodyni, zachęcała nas do apetytu i sama sąsiadowi swojemu nakładała na talerz co smaczniejsze kąski. Na pieczyste były bażanty, a kiedy Adam chwaląc i żałując tych pięknych ptaków, skończył co mu pani domu podała; panienka zerwała się z krzesła i pochwyciwszy na drugim stole postawiony półmisek, sama z nim podbiegła ku niemu. Jako sąsiad i jako najmłodszy, chciałem ją w téj posłudze wyręczyć; ale nie zezwoliła na to, uchylając się zręcznie i jak karjatyda, podnosząc półmisek nad głową. Wziąłem więc choć salaterkę z sałatą i oparłszy się z kolei gospodarzowi, chcącemu mi ją odebrać, towarzyszyłem ślad w ślad pięknéj Signorze Luizie, która, zacząwszy od Adama, aby nie ubliżyć nikomu, wszystkich gości naokoło obeszła. Wszyscy dziękowali serdecznie i wesoło, niektórzy podnosząc się z siedzenia; gdyśmy zaś na swe miejsca wracali, staruszka podała mi rękę i gdym ją ucałował, ujęła mię za głowę i pocałowała w czoło. Signora Luiza, choć w inny sposób, ale także dziękowała

(*) Dzieło to wyszło w r. 1834 pod tytułem: *Osservationi sulla morale cattolica.* (*Przyp. Reda.*)

uprzejmie. Czułem się jakbym był w domu u najlepszych znajomych i jakbym się z warszawianką poznawał.

Przy wetech i *Lachryma Christi*, gwar głosów mówiących razem, przypominał też w całem znaczeniu naszą sąsiedzką na wsi, przyjacielską biesiadę. Rozmowa szła nie już o oderwanych przedmiotach, ale o najżywotniejszych kwestjach chwili bieżącéj.

Ku wieczorowi, gdy się część współbiesiadników rozeszła, pozostali. Cummerio, Grossi i my za przewodnictwem niewyczerpanéj gościnności gospodarza, poszliśmy pieszo na wały miasta, gdzie między bramą Wschodnią a Nową jest, a przynajmniéj było wtedy miejsce przechadzki publicznéj. Tłum osób i ekwipażów, świetność strojów, a nadewszystko piękne twarzyczki i malowniczy ubiór głowy medjolanek, zajmowały i rozrywały naszą uwagę, nie dopuszczając dłuższéj i poważnéj rozmowy. Za to też serdeczny mój przyjaciel Cummerio (wziął mię był bowiem w szczególniejszy affekt), był w rozpromienionym humorze i bawił nas mnóstwem anegdot z artystycznego życia swego i drugich, śmiejąc się sam najszczerzéj i zacierając ręce, ilekroć nas do śmiechu pobudził. Księżyc w pełni na niebie czystém i ciémno-błękitném jak luzur, dawno już miejsce słońca zastąpił, kiedyśmy powracali do miasta i wstąpili na plac katedralny, cały zalany światłem od oświeconych rzęsiście sklepów i kawiarni, na oścież od ulicy otwartych, pełnych ludu, ruchu i gwaru. W pośrodku olbrzymia katedra, a nad nią na iglicach wieżyczek, nieprzeliczony tłum białych posągów, księżycowém światłem oblanych, na tle gwiaździstego błękitu, czynił wrażenie duchów ulatujących w powietrzu. Obraz ten, którym oko i serce długo nie mogły się nasycić, był godném zakończeniem dnia tego, który do najbardziéj uroczych w całym ciągu podróży zaliczam.

Wszyscy trzéj towarzysze nasi odprowadzili nas aż do bramy hotelu, gdzieśmy się pożegnali serdecznie. Nazajutrz miał nas p. Sogni powieźć w najpiękniejsze okolice miasta; tymczasem odwiedziwszy go rano i wstąpiwszy z nim do p. Grossi, zastaliśmy tam syna Manzoniego, osiemnastoletniego chłopca, który przybył z dobrą nowiną, że matka jego ma się lepiéj, ojciec więc mógłby przyjąć odwiedziny nasze. P. Sogni zaproponował natychmiast ażeby tam z nim jechać po południu; Grossi z młodym Manzonim mieli jechać zaraz na obiad. Uradowany pobiegłem z tą wieścią do Adama, ale ten, ku wielkiemu memu umartwieniu, z powodu przyśpieszonego nagle wyjazdu pani i panny Klustin, jednocześnie tu z nami z Rzymu przybyłych, a udających się do Genewy, dokąd myśmy także dążyli, nie mógł być towarzyszem zamierzonéj naszéj wycieczki. Żałował tego póżniéj, bo te panie wyjechały dopiero nazajutrz, a on wracając tędy na zimę do Rzymu, nie znalazł już, jak się spodziewał, zręczności poznania się z Manzonim Pojechałem więc sam jeden z p. Sogni.

Willa, czy raczéj wieś Manzoniego, Bruzzano czy Brussano zwana, leży o cztery mile od Medjolanu. On sam był jéj założycielem. Dom i wszystkie budowle stawione według jewłasnego planu, ogród całkiem urządzony przez niego. Gdyśmy zajechali przed ganek, pierwsza na nasze spotkanie wyszła sędziwa matka poety, ale jeszcze rzeźwa i czerstwa, córka sławnego Beccarii autora znamienitego dzieła „o przestępstwach i karach," które w swoim czasie przeważnie na złagodzenie zbytniéj srogości prawodawstwa kryminalnego wpłynęło. Pierwszy i ostatni raz w życiu odniosłem przecież jakąkolwiek korzyść ze słuchania kursu tego prawa pod Capellim w Wilnie; gdyż świadomość zasług jéj ojca, zjednała mi uprzejmy wzgląd córki. W progu sali spotkali nas sam Manzoni z Grossim; w środku byli syn jego, córka i narzeczony jéj markiz d'Azeglio, sławny dzisiaj mąż stanu, a naówczas bardzo kształtny i ładny młodzieniec, z jasnym blond i w pierścienie wijącym się włosem. Sam Manzoni musiał mieć wtedy lat przeszło 40; miernego wzrostu, oczy światło-błękitne, włosy blond, twarz pełna ożywienia i uprzejméj dobroci. Doznałem jéj też rzeczywiście w całem jego obejściu się ze mną. Uprzedzony już widać przez p. Grossi o mojem uwielbieniu dla niego, powitał mię z dziwnie ujmującą i pełną prostoty życzliwością, a wiedząc że już znam syna, z córką tylko i z jéj narzeczonym zapoznał. Obaj z Grossim żałowali bardzo, że Adama razem nie było, Manzoni wiedział już o nim, jak powiadał przedtem i czytał ów artykuł w *„Revue Encyclopedique."* Zaraz potem zaczął mię pytać o Göthem; słyszał bowiem już od Grossego żeśmy go widzieli w Weimarze. Miał dla niego szczególne uwielbienie i mówił: „że Göthe byłby największym poetą na świecie, tak co do ducha i moralnego wpływu, jak jest nim co do formy i rozumu w sztuce, gdyby mu nie brak było uczuć religijnych i że jeśli go Szyller pod względem właśnie tego wpływu przewyższa, to jedynie z tego powodu, że chociaż w swoich pojęciach równie filozof, jak Göthe, w uczuciach swych jednakże był wszędzie chrześcijaninem." Słowa, które przytaczam, mam zapisane w notatkach; cały zaś ciąg dalszéj rozmowy zamieniał tylko w moje przekonanie własne, to, co już przedtem od Grossego o przyjacielu jego słyszałem i czemu bez wątpienia winien byłem, że umiałem lepiéj pojmować i wiązać w jedną całość pojedyncze myśli i słowa, rozsypane jak piasek złoty, w potocznéj, towarzyskiéj rozmowie. A rozmowa ta tak była prosta, tak naturalna, a przytem tak ożywiona i nawet wesoła, że nie tylko w niéj powagi katechety, ale ani cienia literackiéj pretensji nie było. Najzupełniejszy kontrast z niektórymi sławnymi literatami

francuzkiemi, których w późniejszym czasie poznałem, a w których każdém słowie pomimo ich całéj grzeczności, brzmiał, zda się, niewidomy w ich ustach organek własnéj ich sławy, czy raczéj miłości własnéj. Proszęż chcieć z nich pocałować kogo! Z Manzonim pozwoliłem tego sobie razy parę i zawsze mi to serdeczną wzajemnością odpłacił. Ale ilekroć chciałem mówić coś o dziełach jego, które w żywéj miałem pamięci, zawsze jakoś zaraz rozmowę na ogólny przedmiot skierował. „Każdy z nas, rzekł z uśmiechem mówiąc o poetach, jest tylko jak arfa eolska; stróny tylko sam może nawiązać, ale tylko natchnienie je wzrusza; a natchnienie. to już dar Boży.“ Mówiąc o Rzymie, zazdrościł mi, że tam byłem; on bowiem od lat dwudziestu wybiera się ciągle, ale jeszcze dotychczas być nie mógł. Spodziewał się jednakże, że nie umrze nie obaczywszy Rzymu. A gdy mu przytem nadmieniłem coś z lekka o uwieńczeniu Tassa; uśmiechnął się i wskazując na niebo: „tam jest najlepsza palma,“ odpowiedział. A było to już w ogrodzie po którym mię sam oprowadzał, podczas gdy reszta towarzystwa pozostała w salonie. Ogród obfitował w kwiaty, a gdy go zapytałem czy i tu sam je równie uprawia jak w mieście? potwierdził to i powiedział, że to są najdroższe klejnoty ziemi, które i najpiękniéj zdobią i których samo wydobywanie sprawia już pociechę i rozkosz. Tu znowu była długa rozmowa o Göthem i Manzoni słuchał z zajęciem, gdy mu opowiadałem, jak nieraz siedząc z Adamem, na ławce w ogrodzie Wejmarskim, zwanéj siedzeniem Szyllera, (*Schiller's sitz*) widzieliśmy z daleka Göthego, chodzącego w swojéj winnicy za miastem i obcinającego winne latorośle. Wzruszyło go to bardzo tak, że mu łzy w oczach zabłysły, gdy mu opowiadałem o miejscu w grobach książęcych, przygotowaném już dla trumny Göthego, obok trumny W. Księcia Fryderyka Augusta, po drugiéj stronie którego stała już trumna Szyllera.

Wróciwszy do salonu, znaleźliśmy zastawione jagody i jakieś bardzo smaczne wino, Cypryjskie czy Kanaryjskie. Późniéj roznoszono herbatę i czekoladę razem, do wyboru. Rozmowa toczyła się ogólna, réj w niéj wiodła matka staruszka, bardzo wysoko i wielostronnie wykształcona osoba. P. Azeglio tylko z narzeczoną swoją siedzieli na uboczu i ustawnie szeptając między sobą w rozmowie nie brali udziału. Przy powitaniu tylko i przy pożegnaniu, wymieniłem z nim kilka słów zwykłéj obojętnéj grzeczności.

Gdyśmy się już mieli do wyjazdu, zabierając z sobą i pana Grossi, chciałem pożegnać staruszkę, któréj wówczas nie było w salonie. Wnuk powiedział, że wyszła de ogrodu. Sam Manzoni wybiegł jéj szukać. Mówię wybiegł, nie wyszedł, a i biegł nie zwyczajnym sposobem, ale podskakując, jak student, kiedy np. galop konia udaje. Naśladowałem go i biegliśmy razem. Spotkaliśmy wracającą już matkę i tamże zaraz z nią się pożegnałem. Manzoni przeprowadził nas aż na ganek; a gdy go przy rozstaniu o błogosławieństwo prosiłem, za odpowiedź ucałował mię tylko i czule do piersi przycisnął. Gdyśmy zaś odjechali od ganku, jeszcze nas kilkakrotnem skinieniem od ust ręki pożegnał.

---

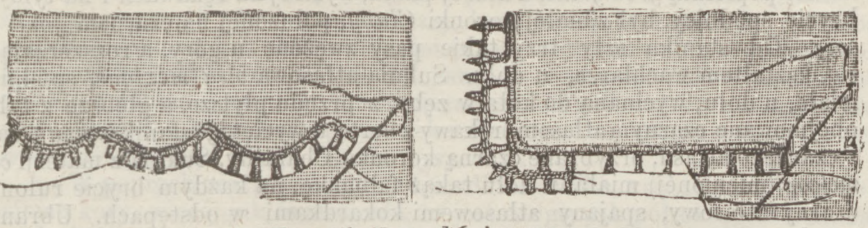
## STRUNY I SMYCZEK.



Struny nowe na skrzypcach Stradi-
[varia ręki
Swój los opłakiwały tłumionemi jęki:
— Siostry! za cóż tak srogiéj doznajem katuszy,
Że, kołkami z hebanu na nieczułém drewnie
Rozpięte, skoro dumny smyczek nas po-
[ruszy,
Musim pląsać na rozkaz, albo wzdychać
[rzewnie?...
— Tak szemrzą cztery struny. Wtém
[smyczek porywa
Dłoń artysty: posłuszne, pod jego pal-
[cami
Zadźwięczały. Wnet melodja namiętna
[i żywa,
Smutna, skoczna na przemian, leje się
[zdrojami,
I w strunach, pod jéj czarem, oniemiały
[żale,
Ich jęki przeszły w tony, płacz w melodji fale;
A ta, która się przedtem najtkliwiéj skarżyła,
Rzekła: „Ty nasze męki nagradzasz sowicie!“
Graj, niech się w nas przelewa genjuszu siła;
Błogosławię boleści, co mi daje życie!...

*K. B.*

# Dodatek do Zeszytu V Kółka Domowego.



Langietka płócienna.

*Wzór i sposób przyozdobienia brzegu langietki płóciennéj lub batystowéj, naśladujący gipiurę.*

W odległości brzegu, jak widzisz na rysunku, przeciągnij nitkę przejmując na wskróś płótno, jak robisz obwodząc pod haft. Dla zachowania dokładnego oddalenia, oznacz sobie, linją ołówkiem, wyższą ramkę; połóż na tem oznaczeniu nitkę, bez przejmowania płótna. Teraz, zaczniesz dziergać cienką bawełną na pierwszéj nitce, po kilku ściegach dzierganych, przejmij igłą na wskróś, jednym ściegiem, wyższą nitkę, wróć z igłą do pierwszéj i znów do drugiéj, jak litera b wskazuje, teraz bez chwytania płótna na tych trzech nitkach, w powietrzu dziergaj słupek, a tym sposobem wrócisz do pierwszéj nitki, dziergaj langietkę, powtórz słupek i wrównéj odległości, stawiaj słupki, aż do końca. Zostaje ci brzeg do tych słupków; użyj włosia, o któren zarzuć nitkę, snując trzy razy pod każden slupek, wracając do nitki, dziergaj na niéj, nie zachwytując płótna; włoś łatwo się da wyciągnąć, a płótno ujęte tylko jednym ściegiem, także z łatwością będziesz mogła odjąć, jak to widzisz na rysunku.

---

## O UBIORACH.

Oglądałyśmy, u pani Włodkowskiéj, kilka sukien przeznaczonych do ubioru na większe obiady, dla jednéj z pierwszych, co do wykwintu stroju pań naszych. Suknia *moire antique* koloru lapis, długa, gładka, powłóczysta, z gładkim pod szyję stanikiem, miała z tegoż materjału pasek, zakończony rozetą układaną w fałdy (klamry albowiem, używają się tylko do codziennego ubrania), rękawy gładkie, miały u góry i u dołu, wyszycie z jedwabnéj, siatkowéj frendzli, koloru sukni. Suknia koloru *cuir* (jasnéj, wyprawnéj skóry) miała podłużne szczebelki u góry i u dołu rękawów z aksamitu *marron*, takież szczebelki zdobiły, w pewnych odstępach, dół spódnicy. Suknia fioletowa atłasowa, w któréj dół i góra rękawów, oraz dół spódnicy, miał trzy białe atłasowe rulony, miała dwa staniki, jeden (na wieczory) wycięty z krótkiemi rękawami i bertą z białego atłasu i koronek *Cluny*, drugi pod szyję, oraz stanik czyli długą na łokieć i ćwierć, baskinę przypinaną, wrazie gdy suknia miała się tym przyborem przystroić. Baskina ta, czyli tunika, wycinaną była do koła w wielkie czworograniaste zęby (trzy krótsze po bokach a jeden dłuższy z tyłu) objęte białym atłasem. Odstępy obszyte u dołu koroneczką czarną, między zębami spajane były cztero pukielkowemi, kokardkami, fioletowemi z czarnem, zwanemi *moulinet*, dla tego że są na kształt wiatraczków. Tuniki takie, są obecnie bardzo używane, przypinane lub odpinane, wedle upodobania zmieniają ubiór. Używają także do większego stroju, tuniki i staniki w odmiennym kolorze aniżeli spódnica i tak n. p. do spódnicy białéj, *poult de soie* robiono także stanik i tunikę w ko-

lorze różowym lub niebieskim. Widzieliśmy także, u pani Włodkowskiéj, suknię popielatą *gros grins*, u któréj pasek, wystrój na rękawach i na tylnym brycie spódnicy, był z białéj koronki *Cluny*, położonéj na czarnem *poult de soie*. Od stanika szły trzy takie pasy zwężone u góry, a rozszerzające się, kształtem wachlarza, u dołu. Suknia atłasowa *bleu mexique*, spódnicę miała, u dołu, wycinaną do koła w zęby, z przodu płytsze, a głębsze z tyłu, obejmowane czarnym atłasem, rękawy z bertą u wyciętego stanika oraz pasek z czarnego atłasu, przybrane czarną koronką Chantilly. Suknia z materji *cameleon* (mienionéj) miała u dołu takąż falbankę, na każdym brycie rulonik czarny atłasowy, spajany atłasowemi kokardkami w odstępach. Ubrania na głowę, zawsze składają się, ponajwiększéj części, z baretek czyli opasek aksamitnych, czarnych lub kolorowych, dwie takie baretki są w cenie dwóch rubli; widziałyśmy pojedynczą czarną aksamitną, na któréj szła prątka złota, spajana w odstępach kameami, z których największa była w pośrodku, a mniejsze po bokach, ubiorek ten kosztował rs. 10. Kosztują po rs. 1 kop. 50 opaski na szyję czyli *gidy* (lejce) jedwabne, posiane w złote i srebrne stokrotki, lub aksamitne, u których w pośrodku przyszyte trzy stalowe swiecidełka. Już wspominałyśmy dawniéj, że opaski takie mają po trzy łokcie długości i wiążą się z tyłu. Kapelusze już zaczynają się robić, tak zwane *demisaison* to jest: połowę z tiulu a połowę z aksamitu. Widziałyśmy, u pani Włodkowskiéj, kilka bardzo ładnych wtym rodzaju. Jeden z nich był z białego tiulu, posianego kryształowemi perłami, przybrany błękitnym aksamitem. Inny znów z białego, pokrytego czarnym, wmuszki tiulem i przystrojony czarnym aksamitem, z takiemiż szarfami, podpięty był białym kwiatem. Noszą także kapelusze tiulowe, przybrane atłasem z takiemiż szarfami. Jeden z nich bardzo ładny, pokryty był rodzajem chusteczki oszytéj szeroką koronką, z boku spadał hyacent biały, z szerokiemi liśćmi; taki hyacent tworzył podpięcie. Formy kapeluszy dotąd jednostajne, wiosna dopiero przyniesie zapewne w nich odmiany.

Oglądałyśmy, w magazynie pana Włodkowskiego, chustki angielskiego wyrobu, zwanego *Mongolian Shawle* po rs. 18, miękkie i ciepłe, mogące na wiosnę płaszczyk zastąpić, oraz chustki całe zarabiane naśladujące kaszmir francuzki po złp. 90. Innych świeżych, towarów dotąd niema, lecz niezadługo, bo wpołowie Marca p. Włodkowski, wybiera się po nie do Paryża.

---

# O SZKÓŁKACH

## Oczkowanie czyli Okulizacja

(patrz Dodatek do Poszytu I i II K D. z r. b).

*(dalszy ciąg).*

Między wszystkiemi sposobami rozmnażania drzew, wszczepianie pączków, czyli oczkowanie, największą ma zaletę, przez ten bowiem sposób wszystkie rodzaje drzew rozmnażane być mogą, nawet pestkowe drzewa lepiéj udają się oczkowane, aniżeli szczepione w pieniek. Czas oczkowania, dla pestkowych, jest od połowy Czerwca, dla ziarnkowych w Lipcu i Sierpniu; oczkują się więc najprzód: pestkowe, potem gruszki, nakoniec jabłka; bo i kwitnienie tych drzew, idzie w podobnym porządku.

Pieniek albo gałęź, w któréj ma się oczkować, powinna być pełna soku, zdrowa, korę posiadać gładką, nie ma być grubszą nad cal. Najmniéj na sześć tygodni przed oczkowaniem, gałązki niepotrzebne poobrywać na-

leży, a z drzewa, z którego gatunek ma być okulizowany, oderżnąć *zraz*, czyli gałązkę tegoroczną, mającą cztery lub pięć pączków zdrowych, wydatnych i farby brunatnéj; gdy zpowodu szuszy, kora nie dobrze odstaje, potrzeba zaczekać dészczu, lub przez kilka dni przed oczkowaniem, drzewa polewać. Dolne oczka gałązki zawsze są najlepsze; w deszcz nie należy okulizować aby się z sokiem drzewa woda nie mieszała; odbywać więc tę robotę w dniu pochmurnym, lub po deszczu, rano i ku wieczorowi; w naczyniu zaś z trochą wody, utrzymywać zrazy, aby nie wysychały.

W poprzek zraza, pół cala nad środkiem oczka, zrobić narżnięcie poziome kory, więcéj jak ćwierć cala, to jest długie jak pół okrągłości zraza; od końców tego zarżnięcia, sunąć nożyk na pół około oczka z jednéj i drugiéj strony, aby oba te bokowe zarżnięcia, zeszły się na pół cala pod środkiem oczka.

Kostką którą nożyk do okulizowania jest opatrzony, oddzielić korę po obu stronach oczka, wziąć oczko między dwa palce, odgnieść je, czyli oddzielić od zraza lekko, aby oczka i kory nie zgnieść, jeżeli z tyłu oczka w korze od drzewa oddzielonéj, niema przezroczystéj dziurki i jeżli na zrazie, w miejscu gdzie było oczko, nie został drzewiasty środek oczka, takie jest dobre i zdatne do użycia; listek przy odjętym oczku, do połowy skrócić, wziąść w usta, nie tykając środka, dla przytrzymania przy dalszym zajęciu. W dziczce, gdzie kora gładka, z któréj kolwiek bądź strony, byle nie od południa, wysoko nad ziemią, od pięciu do więcéj cali; w miarę grubosci dziczki, zrobić podobne do litery T lub w kształcie ⊥ zarznięcie podłużne, czyli prostopadłe, na półtora cala długie, a poprzeczne czyli poziome, na połowę okrągłości dziczki; obydwa zarżnięcia, nie głębsze być mają, jak tylko, aby przecięły korę bez naruszenia drzewa; kostką nożyka oddzielić korę od drzewa, z obu stron, pod poprzeczném zarżnięciem; oczko wsunąć z góry i przycisnąć do drzewa, aby dobrze przystało do zarżnięcia poprzecznego; przyłożyć potem korę dziczki, aby oczko wolne wyglądało, łykiem lekko obwiązać na krzyż, aby obwiązanie, oba zarżnięcia od wilgoci wiatru i słońca zakryło, prędko robotę odbywać należy aby soki nie wyschły; a całą okulizację dobrze jest przykryć na kilka dni od upału, dużym lisciem, przywiązując go do drzewka; jeżeli przez zbyt wiele soku, środek nie odejmuje się oczkiem lecz przy zrazie zostaje, trzeba aby zrazy nieco przywiędły. Dwa lub więcéj oczek, można wsadzać w jedną dziczkę, byle nie jedno nad drugiem i nie zbyt blizko siebie. Po oczkowaniu, zaraz wierzch dziczki urżnąć, ćwierć lub półtory zostawiwszy nad oczkowaniem. Drzewka pestkowe, jeżeli niezbyt rozgałęzione, nie koniecznie trzeba przycinać, pod okulizację zaś, rosnące gałązki zrżynać, a nad nią pozwolić im wzrostu; potem wierzchy zrywać, we cztery lub sześć tygodni, gdy oczko napęczniało, zwolnić obwiązanie, a na wiosnę zupełnie wyrzucić. Gdy się dwa lub więcéj oczek przyjęło, najsilniejsze zostawić, a inne pozrzynać; na wiosnę pieniek nad oczkiem skrócić, do dwóch cali, a w Czerwcu lub Sierpniu, przy samej okulizacji, resztę z góry pieńka, ukośnie zupełnie zerżnąć.

## Łączenie czyli Kopulizacja.

Łączenie drzewek czyli kopulizowanie, jest także bardzo dobrym sposobem rozmnażania, zwłaszcza że się używa do téj roboty, więcéj jak jednorocznych dziczek, czyli grubszych już gałęzi, prędzéj z nich zatem owoców doczekać się można. Czas łączenia jest wiosna, tak samo jak dla szczepienia, aby się przez lato, miejsca łączone, oblaniem, umocowały. Wykonywa się to w następujący sposób: urżnąć pieniek dziczki jak najgładziéj z ukosa, dobrać gałązkę z drzewa, z którego się ma rozmnażać gatunek, równéj gru-

bości i urżnąć ją także z ukosa, podobnie jak pieniek; złączyć gałązkę z pieńkiem jak najszczelniéj: aby kora z korą, miazga z miazgą, drzewo z drzewem, rdzeń z rdzeniem, stykały się; zamazać maścią, obwinąć płótnem lub papierem i obwiązać.

Tak nazwana kopulizacja czyli łączenie, jest wybornym sposobem uszlachetnienia drzew owocowych, który tem bardziéj zaleca się dzisiaj, gdy mnogie doświadczenia okazały, że może być nietylko na wiosnę, ale w jesieni i w zimie pomyślnie wykonany, z równym skutkiem, a większym pożytkiem i ulepszeniem drzew. Z własności zaś przyrzynania i na staréj gałęzi, wynika dogodność mienia pięknych karłów; oprócz tego niemając zrazów jednéj grubości, można kopulizować zraz cieńszy na pieniek drzewa grubszego. Przy tèj robocie jeżeli cięcia i zawinięcia będą takie, że zupełnie do siebie przylegają, a powietrze żadnego, do wysuszenia ich powierzchni, przystępu nie znajdzie, wówczas kopulizacja koniecznie przyjąć się musi; a chociażby które chybiło, to zawsze zostaje pień nie zniszczony ranami; z poniższych oczek nowe gałązki puszczać może, a zatem można pomnażać łączenie oczkowanie, lub szczepienie.

Korzyści z kopulizacji są jeszcze i te, że się wcześniéj doczekać można drzew rodzajnych, pnie ziarnowe roczne, dwuletnie lub starsze, zarówno są zdatne do łączenia, a udoskonalone przez kopulizację, dają drzewa, piękniejsze i daleko weseléj rosnące. Zrośnięcie się zraza z pieńkiem, w przeciągu dwóch miesięcy tak jest doskonałem, że ledwo dostrzedz można śladu ich połączenia; a że pieniek nie doznał żadnego wkrawania, przezto samo powstają ztąd najzdrowsze i najurodzajniejsze drzewa; jeżeli zaś będą kopulizowane w zimie, najwytrzymalsze będą na mrozy.

*J. Poznański,*
Ogrodnik z zakładu braci Hozer.

---

## PRZEPISY GOSPODARSKIE.

### Ciastka z makiem.

Pół garca mąki, trzy łyżki masła, maku pół kwarty, cukru do smaku, śmietany kwaśnéj ile trzeba do zagniecenia, oprócz tego kieliszek świeżych drożdży. Wymięszawszy ciasto, które dość wolne być powinno, kłaść w piec obwarzaneczki, które już w piecu wyrosną.

### Zając duszony.

Naszpikuj zająca, pokraj, wyłuż duży rądel słoniną, włóż w niego zająca, dodawszy w kostki pokrajanéj cielęciny, włoszczyzn (te związać i na wydaniu wyjąć), kilka łyżek mocnego buljonu, parę grzybów, szklankę kwaśnéj śmietany, (albo wina, ale wtedy grzybów kłaść nie można), zakryj papierem wysmarowanym masłem, zalep ciastem i duś godzinę, obłożywszy rądel na około ogniem. Tak samo podają się kaczki i mostki cielęce.

### Sposób przechowywania masła.

Swieżo zarobione masło obmyć starannie i nakładać nim garnki ciasno i twardo. Ustawiwszy garnki w dużym kotle, do połowy wodą napełnionym, gotować aż woda zakipi, wtedy odstawić nie wyjmując garnków póki woda nie ostygnie. Tak urządzone masło, bardzo jest smaczne, i rok cały zachować się daje.